JUSTKA

MINIATURA

Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO

przez

J. I. Kraszewskiego.

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.
1885.

Дозволено Цензурою.

Варшава. — 11 Апрѣля 1885 года.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska № 20.

Na ganeczku we Dworze Baranowieckim stała dziewczynina, mała, chuda, żółta, z włosami rozrzuconemi, z zapłakanemi oczyma, w rękach zapracowanych i zasmolonych mnąc koniec fartuszka, którym łzy musiała ocierać, teraz już osychające. Na głowie w rozplecionym warkoczyku tkwił na pół zwiędły kwiateczek żółty łotoci, tylko co rozkwitłej—bo wiosna niebieskiemi oczyma pogodnego lazuru uśmiechała się ziemi.

W ganku nie było oprócz niej nikogo, ale we wnętrzu domu słychać było Sędzinkę, dziedziczkę Baranówki, która, jak burza odciągała właśnie, burcząc i warcząc na niesforne dziewczę. W uszach jej brzmiał jeszcze ostatni wyraz gniewu, którym odchodząc rzuciła, raniąc nią serce: Błaźnica!

Dziewczynka (mogąca mieć lat około dziesięciu), powtarzała sobie pocichu to połajanie, niewiedzieć dlaczego biorąc je daleko goręcej do serca, niż wszystkie inne, jakie się jej na głowę posypały.

— Błaźnica! Tego przezwiska tak niemile brzmiącego, właśnie może dlatego, iż znaczenia jego nie rozumiała—mała Justka nie mogła przełknąć i strawić.

Poruszała główką, rzucała ramionami i mruczała ciągle—błaźnica!

Westchnęła głęboko. Spójrzała na bose, zbłocone nóżki, na chude ręce, na grubą, zgrzebną koszulinę, na wyblakły fartuszek — owe dobrodziejstwa, jakiemi ją okrywała Sędzinka; na pamięć przyszła kasza ze starą słoniną i kartofle, któremi ją karmiono; praca, którą się od dnia do późnej nocy zamęczać musiała—i jeszcze raz powtórzyła: błaźnica!

Trzeba zaś wiedzieć, że tak zwana Sędzinka, pani Petronela ze Zbojewskich Karandaszewska, wdowa po panu Władysławie, dziedziczka Baranówki i Żubrzyniec na skraju Puszczy Kobryńskiej — najzacniejsza w świecie osoba—oile była dobrą, litościwą, czynną, pracowitą i wzorową gospodynią, a troskliwą matką, dla włościan sprawiedliwą panią i t. d., o tyle w pożyciu powszedniem temperament czynił ją nieznośną. Potrzebowała dla konkokcyi gniewać się, wykrzyczeć, wydąsać, a czasem dochodziła do tego stopnia rozdrażnienia, iż bezbronne dziewczęta, jak oto dziś Justkę—poszturchała. Nie było w tem nic strasznego, ani bolesnego; sama Sędzinka się po-

tem wstydziła tej porywczości—ale na razie—wstrzymać się nie mogła. Kuksaniec się wyrwał—niespostrzeżony.

I tak właśnie dziś dostał się, nie jeden, ale para ich, tej biednej Justce, do której Sędzinka partykularną (jak się wyryżała) miała „ansę“.

Z Justki był biegus sławny, więc gdy pośpiesznie chciała Sędzina kogoś zawiadomić, dać rozkaz, otrzymać potrzebną informacyą, zwykle—„nogi za pas“—wyprawiała tę Justkę, która znowu, wolałaby była stokroć w garderobie siedzieć nad elementarzem, który chciwie studyowała. I tym razem wysłana Justka na folwark do gospodyni po wiadomóść ważną: ilu faskami masła Sędzinka rozporządzać mogła? licho nadało, skusiła się wycieczkę zrobić na łąkę za folwarkiem, aby urwać łotoci i wetknąć ją sobie we włosy. Był to kryminał w oczach Sędziny — bo i nieposłuszeństwo, samowola i symptom zdradzający płochość. Justka spóźniła się z powrotem; we włosach przyniosła dowód swej winy i Sędzinka, rada ze zręczności, wyłajała, wyszturgała, nagroziła, nafukała, tak, że aż na błaźnicy się skończyło.

— Proszę ja kogo! Smarkata ta jakaś, będzie mi sobie za kwiatkami po łąkach biegać! i czupiradło to stroić się chce jeszcze! Dam ja ci! nauczę ja ciebie, będziesz ty mi kwiatki zbierała....

Justka po kilka razy na dzień podobne łajania, przy najmniejszej okoliczności musiała znosić, czasem nawet bez żadnej dobrej racyi, tym razem wszystko się w niej zburzyło, zawrzało i w duszy bunt podniosło.

Justka była sierotką, siostrzenicą gumiennego Rabickiego, wziętą na usilne prośby jego, przez litościwą Sędzinkę; kilka już lat znosiła tę edukacyą ostrą; a że sama pani ząb do niej i ansę miała, szli za jej przykładem wszyscy we dworze i kto co mógł na Justkę wymyślał i donosił.

Sędzince najbardziej to się w dziecku niepodobało, że zamiast do szycia, do pończochy, do robótek kobiecych, miała niezmierny pociąg do elementarza i gwałtem uczyć się chciała. Odbierano jej, konfiskowano, palono po kilkakroć książczyny, które ona niewiedzieć jakim sposobem i zkąd dostawała. Nie pomagało nic. Justka chowała elementarz za koszulinę, kryła go w drewka, podsuwała pod szafy—a niespodziany napad łapał ją na gorącym uczynku syllabizowania.

Sędzinka widziała w tem objaw jakiegoś buntowniczego ducha, symptomat najgorszych skłonności, kryjących się w tem dziecku, które chciała koniecznie złamać i zmusić do posłuszeństwa.

Lecz im więcej starała się Justkę pokierować według swej myśli, do kur, do motków, do igły—tem silniej dziewczę się jej wyrywało.

Zkąd ten duch oporu i ta ochota wykształcenia się instynktowna, wzięły się w dziecku opuszczonem, poniewieranem, tegoby nikt pono wytłómaczyć nie potrafił, chyba cudem jakiegoś atawizmu. Rodzice jej byli biedni, matka czytać nie umiała. Wuj, gumienny, prosty biedny człowiek, wprawdzie na drukowanej książce nabożnej czytał powoli modlitwy, ale pisał jak kura i regestra jego odznaczały się nieforemnością swoją. Poczciwość, wierność i niewielkie wymagania jedne mu miejsce zapewniały.

Rabicki nie miał na całym świecie nikogo oprócz tej siostrzeniczki; kochał to dziecko, uważał za wielkie szczęście, że Sędzinka się podjęła ją wychować i w garderobie na — panienkę wykształcić. Wyobrażał on sobie wszelkie wychowanie jako ostry nowicyat, w którym środki surowe były nie do uniknienia: więc, gdy mu się Justka skarżyła, pocieszał ją, jak mógł, i skłaniał, jak umiał, aby miała cierpliwość i starała się sobie zjednać serce Sędzinki.

Tymczasem szło coraz-to gorzej. Pani się gumiennemu skarżyła na wychowankę. Justka słuchała, mówiąc, że nie wytrzyma, a Rabicki wzdychał, to Sędzinie się do nóg kłaniając i prosząc aby miała zlitowanie nad głupią, to Justce wmawiając, że powinna była cierpieć, milcząc, i znosić kaprysy pani—ażeby się to—dał Pan Bóg, zmie-

niło na lepsze, co, w jego przekonaniu nieohybnie nastąpić miało.

Justka wprawdzie starała się przebłagać Sędzinkę i zjednać ją sobie, ale przychodziło to z trudnością wielką, bo miała przeciwko sobie uprzedzenia i ten nieszczęsny elementarz, ku któremu ją jakaś siła ciągnęła. W innych rzeczach uległaby zresztą, lecz nauczyć się czytać chciała koniecznie. Zdawało jej się to wrota do nowego życia otwierać.

Zkąd ta myśl—przyleciała do niej, siadła w jej głowinie i zagnieździła się? ona sama niewiedziała. Sędzinka byłaby może kazała się jej uczyć, i zmuszała do elementarza, gdyby ona go sobie nie życzyła, ale ten pociag w oczach jej był podejrzany. Upatrywała w nim niepotrzebną i zawczesną ambicyą.

Z sercem przepełnionem bólem, Justka, otarłszy łzy w ganku, zamiast pójść zaraz do garderoby i zasiąść do cerowania pończoch — obejrzała się dokoła i zuchwale poskoczyła ku stodole, w której się spodziewała zastać wuja.

Był to jedyny człowiek, któremu się poskarżyć mogła, bo w garderobie dziewczęta rówieśnice i starsze panny wyśmiewały się z niej i prześladowały. Rabicki, choć nie pochwalił nigdy, przynajmniej pogłaskał, pocieszył dobrem słowem, wlał w serce jakąś nadzieję. Ilekroć jej cierpie-

nie stawało się nieznośnem—uciekała się do niego. Dnia tego w stodole roboty nie było, ale stary gumienny, pokaszlując, zamiatał około kup zboża na toku, znaczył je, i chodził właśnie, opatrując wszystkie kąty.

Nie spodziewał się Justki o tej godzinie i zobaczywszy ją, stanął zdziwiony, sądząc, że Sędzinka po niego przysłała.

Stary, przygarbiony nieco wiekiem i pracą, Rabicki był flegmatyk, powolny, a życie, do którego nawykł oddawna już mu się zdawało jedynem, do jakiego był przeznaczony. Nic nie pragnął tylko tak pobożnie dożyć końca, a doczekać, aby mu Justka dorosła i wyszła na ludzi. Tak się wyrażał niezdarnie, mówiąc o niej.

Wyraz twarzyczki, z jakim wpadło dziewczę, przestraszył go; oparł się na szufli, którą trzymał w ręku, i wielkie oczy otworzył.

— A tobie co?

Justka płakać nanowo zaczęła. Uderzyła się rękami w chude swe piersi.

— Nie wytrzymam! tak mi Boże dopomóż! nie wytrzymam! — zawołała. Po całych dniach byle co, łaje i łaje, szturga, znęca się. Ot i dziś, posłała mnie na folwark, a żem zbiegła na łąkę i łotoci sobie urwawszy, we włosy wetknęła, to mnie od błaźnic zbeształa! Od błaźnic!

Rabicki stał i wyraz ten nie zdawał się na nim

czynić żadnego wrażenia, głową potrząsał milczący.

— No, to co? — odezwał się wreszcie — no? to co? — Mówiłem ci. nie raz. lecz sto razy, trzeba wszystko znieść! To darmo. Ona zła nie jest.

— Jędza! — wykrzyknęła Justka.

Rabicki się obejrzał wystraszony.

— Milcz-że ty mi — odparł — cicho! Jeszcze kto usłyszy. nietylko ty. ale i ja pokutować będę, tego tylko brakowało. Korona ci z głowy nie spadnie, a pocóżeś za tą głupią łotocią biegała? hę?

Justka płakała tak. że mówić nie mogła. Spodziewała się współczucia, pociechy. a znajdowała u wuja tylko naganę i nakaz milczenia.

Rabicki stał, spoglądając na nią z politowaniem.

— Mówiłem ja tobie nieraz i powtarzam: trzeba wszystko przecierpieć. Ona zła nie jest, ale nie lubi, żeby się jej kto sprzeciwiał. Pokora niebiosa przebija, a ty się dąsasz; ona to rozumie. No—i ten przeklęty elementarz — dodał ciszej.

Justka rękę podniosła.

— Cóż to złego, że ja się chcę uczyć Pana Boga chwalić i duszę pocieszyć? Innym każą gwałtem, a mnie to ma być zakazane?

Rabicki ramionami poruszył.

— Otóż widzisz, głupia—rzekł—i tobie-by na to przyszedł czas, ale ona swawoli nie cierpi. Pierwsze posłuszeństwo, niż nabożeństwo. I na co tobie tak wiele rozumu!! na co?

Justce dziwnie się usta wykrzywiły, spojrzała na wuja, duma jakaś odpowiedź jej wstrzymała. Otarła oczy i poczęła się przechodzić po toku zadumana, a Rabicki gonił za nią wejrzeniem.

— Już niechaj sobie co chce będzie — poczęła cicho. — Pójdę ztąd, bodaj o żebraczym chlebie, pójdę! nie wytrzymam!

Wuj, który szuflę jeszcze trzymał w rękach, załamał je, zapomniawszy się, i padła z wielkim hałasem na tok. Miał się schylić, aby ją podnieść, gdy Justka podbiegła i podała. Mógł teraz zajrzeć w jej oczy zaczerwienione, przypatrzeć się twarzyczce wychudłej, zmęczonej, i litość go przejęła. Zwolna rękę położył na główce dziewczęcia, pogłaskał ją i zamruczał.

— Bądź cierpliwa. Wszystko to są bzdurstwa; przejdzie to, zapomni się.

Dziewczę, zadumane, zdawało się myśleć o czem innem.

— Kochany wuju — szepnęło — a czy to już dla mnie tyle świata, co w Baranówce? Czyż ja sobie, choć smarkata, nie mogłabym na kawałek chleba i gdzieindziej zarobić. aby tu tego poniewierania nie cierpieć. Dobrze tobie mówić, co

nie widzisz, ani słyszysz, jak ona po całych dniach znęca się nademną. Gdybym nie wiem co zrobiła. zawsze źle. Pójdę w świat! pójdę w świat!

Rabicki oglądał się wylękły.

— Cicho ty, szalona! Nie pleć i nie bałamuć. Dokąd pojedziesz? Myślisz, że tak łatwo znaleźć służbę i przytułek! Psami cię wyszczuwać będą. Z głodu-by ci przyszło mrzeć, gdyby nie jej łaska.

— A! piękna mi łaska! — wyrwało się dziewczęciu. — Ja mrę i schnę, a ona litości nie ma.

I płakać zaczęła znowu. Rabicki się zamyślił.

— Wracaj mi zaraz do domu — rzekł.—Znowu biedy napytasz i mnie jej naprowadzisz. Sędzina zawoła. Spytają, gdzieś była: domyśli się, żeś ze skargą biegała do mnie. Idź! idź!

Justka podniosła ku niemu oczy, jakby błagające jeszcze litości, lecz, dostrzegłszy w nim tylko wielką obawę, nie powiedziała już ani słowa. Milcząc, pocałowała jego zawalaną rękę, przyłożyła fartuszek do ust i—pobiegła.

I tu dla niej nie było pociechy! Pędem powróciła do dworu, wpadła do garderoby i wprost pobiegła do twardego stołka. który na nią czekał z kupą starych pończoch do cerowania na stole. Siadła na swojem miejscu, nie spojrzawszy na nikogo, porwała pierwszą lepszą dziurawą piętę

i wypórkami poczęła ją łatać. Cała gromadka dziewcząt znajdująca się tutaj, która już wiedziała o łotoci i łajaniu, przyjęła ją znaczącem milczeniem. Nikt ani się zbliżył do niej. Starsza panna Hanna, przymrużonemi oczyma popatrzyła na buntownicę i odezwała się ostro:

— Pończochy do prania potrzebne, a tu i początku z niemi nie ma. Mówiłam pani, że Justki posyłać nie można nigdzie, bo ledwie za próg, to i przepadnie, przywiązać-by ją chyba do stołka, i to patrzeć, aby się nie urwała.

Śmieszki się słyszeć dały i prychania, bo to miało być dowcipne, a dziewczęta się przypochlebiały pannie Hannie tym sposobem. Justka z głową spuszczoną nie odpowiadała ani słowa, nie podniosła oczu: zdawała się nie słuchać i nie słyszeć. Włożyła chudą rączynę w piętę pończochy i igła chodziła już żywo, aby nagrodzić czas stracony.

Najbliższą sąsiadką Sędzianki była pani Porochowa ze Zdunowa, o granicę, jak ona wdowa, jak ona mająca córkę i syna, równego niemal majątku i na jednem z nią stopniu wykształcenia i stosunków. Wiek obu pań był przybliżenie równy, chociaż Sędzinka utrzymywała, że była młodszą o trzy lata, a pani Porochowa liczyła sobie mniej od niej pięciu wiosnami.

Żyły ze sobą na pozór dosyć przyjaźnie, lecz zazdrościły sobie wzajemnie, przekomarzały się, rywalizowały i wistocie nie cierpiały się serdecznie. Temperamenta też i natury ich jak niebo do ziemi były do siebie niepodobne. Sędzinka chuda, szczebiocząca, ciągle w ruchu, zajęta, gderliwa, choleryczna, miała najlepsze serce, a charakter nieznośny, pani Porochowa wydawała się pobłażaniem i łagodnością, chwaliła wszystko, uśmiechała się, ale zamknięta w sobie w gruncie była najstraszniejszą egoistką i miała instynkta niedobre, które wiek stwardnił i uczynił nałogami.

Podejrzliwa, posądzająca, ciekawa, myślała tylko o sobie, a reszta świata wcale jej nie obchodziła, jeśli z niej dla siebie jakiejś korzyści lub przyjemności wyciągnąć nie mogła. Otyła, ociężała, rumiana, poruszająca się leniwo, Porochowa miała jeszcze małe pretensyjki do resztki wdzięków i uśmiechała się zalotnie, co Sędzinkę gorszyło.

Obie sąsiadki szpiegowały się wzajemnie z ciekawością wielką i obie pilnowały, aby oko obce nie wglądało w ich sprawy, ale Sędzinka mniej była gorliwą, a pani Porochowa nienasyconą. Co się tylko ważniejszego przygodziło w Baranówce, o tem w Zdunowie natychmiast wiedzieć musiano.

W każdą prawie niedzielę równie Porochowa, jak Sędzinka jeździły na mszę do parafialnego kościoła; Sędzinka przywoziła z sobą cały fraucymer. Zwyczajem było szczególniej na wiosnę i w lecie przybywać zawczasu, i nim wyszła summa, dziewczęta zabawiały się ze znajomemi na cmentarzu, kościołek okalającym. Pani Porochowa się tak jakoś urządzała, że zawsze którąś z dziewcząt baranowieckich potrafiła przyciągnąć i wybadać. Szczególniej zaś lubiła Justkę, bo ta, naiwna i szczebiotliwa, wypaplała jej zawsze najwięcej, a że do Sędzinki żal miała, nada-

wała więc plotkom swym mimowolnie złośliwą cechę.

Następnej niedzieli dwie bryczki, fornalskiemi końmi zaprzężone, zabrały pannę Hannę i jej podkommendne do kościoła. Sędzinka z córką swoją, osobno czterma końmi w lejc, nadążała za swym dworem.

Parobczaki, fornale byli w tak dobrym humorze wioząc dwie fury dziewcząt, iż konie popędzali rzeźko, i gdy stanęli przed kościołem, jeszcze Sędziny widać nie było, a przed wielkim ołtarzem odprawiała się wotywa. Było to na rękę i pannie Hannie, która, chociaż już nie pierwszej młodości, spotykała się tu z pisarzem prowentowym, starającym się o nią. Dziewczętom więc dana była swoboda rozpierzchnięcia się po cmentarzu, pókiby na summę w dzwony nie uderzono.

Pani Porochowa już tu w cieniu lip, świeżo się rozwijających, oczekiwała na którą z wychowanic Sędziny, a traf jej nastręczył najulubieńszą Justkę, mającą jeszcze na sercu owo połajanie, a w głowie myśli ucieczki, z któremi się nosiła ciągle.

Justka dostała jakąś łakoć, z worka dobytą, pocałowała dobroczynną rękę i poczęła się skarżeć i boleć na swą dolę, a że pani Porochowa zawsze jej wiele okazywała współczucia, choć

wistocie miała ją za kapryśnicę nieznośną, Justka się wygadała przed nią nawet z tą swą nieszczęśliwą myślą ucieczki i puszczenia się w świat.

Pani Porochowej taki wypadeczek, któryby poparł jej sądy o charakterze Sędziny i obchodzeniu się z wychowanicami, był bardzo na rękę. Nie mogła więc i nie myślała dziewczyninie odradzać i owszem, zaczęła od ubolewania.

— Już jak mi cię żal. moje dziecko — odezwała się — to wypowiedzieć trudno. A! Jezu miły! jabym cię wzięła i przytuliła u siebie, toby ci było jak u Boga za piecem, ale to niepodobieństwo. Sędzinka u mnie we dworze ma swoich szpiegów. Tegoż dnia-by się zaraz dowiedziała. i dopieroby burza się zerwała! Pomogłabym ci, ale, jak? jak? Już tu, gdy ja z tobą rozmawiam, pewnie kto podpatruje lub podsłuchuje.

I chwilę pomyślawszy, szepnęła sąsiadka:

— Zobaczymy. Niechno ja się rozpatrzę, może ci dam jaką radę. Tymczasem, co robić? musisz jakiś czas cierpieć. Milcz, nie odburkuj.

Justka przy tej sposobności mnóstwo powszedniego życia szczegółów z Baranówki udzieliła ciekawej Porochowej, a gdy na summę dzwonić zaczęto i ekwipaż pani Sędziny zbliżył się ku bramie cmentarza, wyszła witać sąsiadkę z serdecznością największą. Twarz jej tem była we-

selszą i milej się uśmiechającą, im większą miała nadzieję dokuczenia kochanej sąsiadce, dopomagając Justce do ucieczki.

Co się potem stać miało z biedną sierotą, o to Porochowa się wcale nie troszczyła, będąc tego przekonania, że biedactwo zawsze się jakoś wygrzebie.

Dwie wdowy i dwie ich córki, powitawszy się u bramy, wejrzeniem troskliwem zrobiwszy inwentarz swych toalet i gałganków, powoli udały się do pełnego już kościoła, w którym panna Hanna z fraucymerem, dzięki potężnej protekcyi ramion pisarza prowentowego, znalazła przyzwoite pomieszczenie.

Justce na sercu było lekko, modliła się gorąco, przekonana, że Pan Bóg się ulitował nad nią i zesłał jej Porochową, aby ją wyzwolić z niewoli tej babilońskiej. Bolała tylko nad tem, że poczciwa, dobra, serdeczna opiekunka sama wziąć jej nie mogła.

Skutkiem tej krótkiej rozmowy na cmentarzu było, iż Justka wbrew radom wuja, pomimo obawy puszczenia się tak na włóczęgę bez grosza, bez opieki, bez odzieży, bez niczego, postanowiła jaknajmocniej myśl swą płochą, dziecinną doprowadzić do skutku.

Mimowolnie pani Sędzina w ciągu następnych dni kilku nietylko nie rozproszyła tych marzeń

i nie uspokoiła biednej sierotki. ale ją podrażniła mocniej jeszcze. Skutkiem nikczemnej denuncyacyi Ewusi, lizusa, który się wszystkim przypochlebiał, zabrano ostatni elementarz biednej Justce i kazano jej publicznie klęczeć w garderobie za ukrywanie tej zakazanej niebezpiecznej książki. Sędzina skorzystała z doniesienia, ale na Ewunię spojrzała z pogardą, a do panny Hanny odezwała się pocichu:

— Paskudne to stworzenie; trzeba się go pozbyć będzie, przy pierwszej sposobności.

Wujowi już się nawet nie poskarżyła Justka, lecz wkrótce go mając opuścić,—a był to jedyny człowiek na świecie, którego kochała i który jej okazywał przywiązanie,—biegała częściej ku stodole, łapała go w dziedzińcu i ze łzami w oczach całowała po rękach.

Stary uśmiechał się jej, głaskał ją po główce i powtarzał:—Miej tylko cierpliwość; wszystko będzie dobrze. Sędzina ma serce litościwe, tylko taki nałóg gderania; a co ja się od niej w życiu nasłuchałem!—aż nieraz uszy więdły.

Ze spuszczoną główką dziewczę nic już nie odpowiadało, ale stałe miało postanowienie:—„Niech się dzieje co chce, ja muszę ztąd precz w świat, gdzie oczy poniosą. Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył.”

Każda z dziewcząt u Sędziny miała swoję

skrzyneczkę i wyprawę bardzo skromną, którą powiększały małe podarki, jakie czasem od gości się dostawać trafiło. Justka była tak dumna, że ani myślała zabierać z sobą tego, co od Sędziny miała; chciała się obejść jak najmniejszem, jedną sukienczyną na sobie, dwiema koszulami, trzewikami staremi, które na nogach miała, chusteczką, podarowaną niegdyś przez panią krewną Sędziny i t. p. Resztę lepszą swych rzeczy postanowiła w kuferku zostawić i—nie tknąć. Brała co było najgorszego, ale niezbędnego.

Postanowiwszy uciec, myślała teraz tylko, jak się to da wykonać. Sama jedna nocą się puścić, nie miała odwagi, a była pewna, że za nią i wuj i Sędzina gonić będą. Czekała na radę pani Porochowej, która jakoś następnej niedzieli w kościele się nie pokazała. Czekała więc Justka, ale nie zmieniła myśli. Wuj był pewnym, że jej to przeszło, że zapomniała, gdy właśnie, im dłużej trwało oczekiwanie, tem dziewczę mocniej się utwierdzało w postanowieniu. Chodziła posępna, milcząca i aż panna Hanna, spostrzegłszy w niej zmianę, zaczęła ją strofo ać łagodnie; zalecała jej, aby się otrzęsła z tych fumów. Justka nie powiedziała nic, ale została, jak była. Sędzina nazywała to niegodziwą krnąbrnością, a na krnąbrność innego nie widziała środka, tylko przełamanie jej siłą. Zwracała więc tem większą uwa-

gę na dziewczę, wołała ją i kazała szyć pod oczyma w swoim pokoju, gderząc nieznośnie.

W niedzielę następującą złożyło się tak nareszcie, iż Justka mogła na chwilę panią Porochową pochwycić.

— A, dobrodziejko moja — zawołała, całując ją po rękach — ratuj mnie, bo ona zamęczy. Jednej godziny-bym nie wybyła, ale jak tu uciec? Nocą się boję, a we dnie patrzą, szpiegują.

Porochowa klapsem po głowie przerwała jej.

— Przysiąż-że mi, na ten kościół i Boga, co na nas patrzy i słucha, że mnie nie wydasz, że nigdy nikomu nie powiesz, iż ja ci pomogłam!

Dziewczę, skrzyżowawszy ręce na piersiach, pośpieszyło zaprzysiądz, a sąsiadka litościwa schyliła się jej do ucha.

— We Środę, w nocy, wymknij się z dziedzińca ku gościńcowi. Będzie tam stać furmanka, człowiek pewny. Ten cię podwiezie, a nim rano się opatrzą, będziesz o mil kilka. Na, masz, karteczkę do mojej siostry do Strzyżowa; ona już będzie wiedziała co zrobić z tobą, ale jak ty mi piśniesz co, to Pan Bóg cię srodze ukaże.

Porochowa byłaby może udzieliła jeszcze jakiej informacyi, ale w tej chwili Sędzinka się ukazała już na cmentarzu, a sąsiadce szło o to, aby jej w towarzystwie Justki nie zobaczyła, odskoczyła więc jak oparzona, niechcąc już ani jej znać, ani

wiedzieć, a Justka z kartelusikiem w ręku, który za sukienkę wsunęła, pozostała sama i pośpieszyła do kościoła. Teraz już się tak składało wszystko, że Justka—musiała uciekać. Dreszcz po niej przebiegł, lecz zarazem z dumą pomyślała, że postawi na swojem, że będzie wolną, że tam, gdzie się znajdzie, elementarza jej zakazywać nie będą mogli i t. d.

Modliła się ze łzami.

Trzy dni ją dzieliły od tej nocy. Jakby na przekorę temu postanowieniu, Sędzinka, która miała serce i w końcu zawsze miękła, poczęła trochę łagodniej się obchodzić z dziewczęciem. Pozwoliła jej powrócić z robotą do garderoby i nie prześladowała gderaniem, które spadało na Ewusię pochlebnicę, tembardziej znienawidzoną, im się więcej upadlała przed panią. Sędzinka wyraziła się nawet, mówiąc o dziewczętach z panną Hanną:

— Z tej krnąbrnej Justki, jak się to nałamie, może jeszcze być co poczciwego, ale z Ewusi, co się tak liże, nic dobrego nie wyrośnie, nic! nic!

We Wtorek potajemnie miała już tobołek swój gotowy Justka. Poszła do wuja tęskna, nie śmiąc się mu przyznać co miała począć,—rozpłakała się. Stary ją pocałował i tak rozstali się z sobą.

Noc była ciemna, chmurna bezksiężycowa, gdy

pocichu, na palcach, trzewiki niosąc w ręku, Justka się wyśliznęła tak z garderoby i z sionek do ogrodu, że nikt ani słyszał, ani się przebudził.

We dworze było cicho, a w starych drzewach wiatr nawet się nie dawał słyszeć. Z bijącem sercem, dziewczę znaną sobie dobrze furtką, która się zasuwała od ogrodu, wyszło ku gościńcowi, ale tu obiecanej furmanki nie było nigdzie. Wybrała się z niecierpliwości zawcześnie, a co gorzej, zaczynała wątpić, czy Porochowa słowa jej dotrzyma i przyśle po nią.

Upłynęła godzina przepłakana, która się jej wiekiem wydała. Od wsi psy zaczęły naszczekiwać, coś jakby turkot cichy wozu dało się słyszeć w dali; zbliżał się bardzo powoli i nareszcie pod płotem ogrodowym, ostrożnie, cichutko wóz przystanął.

Justka nie dała mu odpoczywać długo, zaledwie dostrzegła go i przygarbionego woźnicę, który chciał wysiadać, gdy już nadbiegła ku niemu. Nie pytając jej o nic, człowiek przysłany pośpiesznie nazad się na wiązce siana swej usadowił, biczem wskazał jej drugą w koszyku z tyłu i ledwie miała czas się wgramolić na wóz, już koń połechtany biczyskiem zwolna się poruszył, koła zaskrzypiały. Justka była, jak chciała, sama jedna, na Bożej opiece, w drodze życia.

Oburącz objęła twarz pałającą i płakać, pła-

kać zaczęła. Strach niewysłowiony ją opanował. To dreszcze to płomienie przechodziły po niej.

— O, dolož ty moja, dolo—szeptała do siebie— o, matko ty moja, coś mnie tak odumarła sierotą, ulitujcie się nademną. O, Boże miłosierny, aniele stróżu mój, matko bolesna i ty patronko moja!

Wszystkie tak posługi niebieskie z kolei wywoływała Justka, a łzy się jej lały strumieniem, aż nareszcie ze znużenia, z bólu się ich przebrało. Senną być zaczęła, choć zasnąć się obawiała. Wkoło panowały ciemności, otaczał ją las czarny, straszny jakiś, ponury, w którym dziwne odzywały się głosy. Stary woźnica, który w początku się jej przypatrywał, parę razy zagadnął i nie otrzymał odpowiedzi, w końcu też drzemać poczynał. Koń zwolnił kroku i wóz się wlókł tak, że Justce strach się robiło, aby jej nie napędzono.

— Zmiłuj się, mój dobry człecze — odezwała się do woźnicy. — Zmiłuj się, pośpiesz choć trochę; ja się boję.

Nie śmiała się przyznać, iż pogoni się lękała, ale stary był dobrze poinformowany i obrócił się do niej z uśmiechem.

— Nie napędzi nas tu nikt — rzekł, bo to nie gościniec. Jam nie głupi wielką drogą pannę wieźć. kiedy pani kazała, żeby uchowaj Boże nas nie przyłapali! Nie bójcie się: ta droga w las

potrwa, a potem i bez wszelakiej drogi pojedziemy dla bezpieczności.

Po mowie poznała Justka w woźnicy dworaka. Wistocie był to stary fornal ze Zdunowa, który na ten raz przywdział siermięgę i bawiło go to, że dziewczynę wykradał.

Uspokojona Justka tak się czuła złamaną, że pochyliwszy się na siano i przyłożywszy zaledwie głowę do niego, usnęła. Wóz tymczasem lasem i zaroślami posuwał się dalej, a woźnica już nie drzemał, obawiając się zabłądzić.

Chłód wiosennego poranku i śpiewy przebudzonego ptactwa Justkę też ze snu otrzeźwiły. Wstała, czując na sobie wilgotną rosę i ze zdumieniem postrzegając, że na dworze było już jasno, a przez pnie przerzedzone lasu różowe przeglądało niebo, zwiastując blizki wschód słońca. Przeżegnała się i zaczęła modlić. Woźnica też mruczał ranny pacierz swój krótki.

Stanęli przy maleńkiej karczemce w lesie, u której nawet zajazdu nie było. Koń potrzebował trochę wytchnąć, napić się i przegryźć siana. Woźnica zastukał do okna, bo zimny ranek kieliszek wódki czynił koniecznym. Justce ani pić, ani jeść się nie chciało. Była na pustym, szerokim tym świecie, niby wyswobodzona, wistocie bezdomna i skazana—któż mógł odgadnąć na jaką przyszłość?

Strach jednak i łzy wkrotce się zmieniły w jakąś nadzieję odważną, która odżywiła ją i pokrzepiła.

— Już mi chyba nigdzie gorzej nie będzie! — szeptała do siebie — choćbym u żydów służyć poszła, choćbym za prostą dziewkę do krów się najęła.

Myśl jej pobiegła z trwogą znowu do dworu Baranowieckiego. Tam jeszcze pewnie spali wszyscy, ale wkrótce miała się przebudzić Sędzina. a panna Hanna zawsze ją usiłowała uprzedzić i być już na nogach. Może więc zobaczyła jej sienniczek pusty, i już szukała zbiegłej; może myśleli, że się wyrwała do ogrodu.

Sądziła, że ucieczki nierychło się chyba dorozumieją, a nim gonić zaczną, ona już znajdzie się bezpieczną—daleko.

Siostra pani Porochowej starsza, zamężna Powitowska, kobieta niemajętna, obarczona liczną rodziną. której mąż trzymał małą dzierżawę. a głównie zajmował | się spekulacyą na koniach (niezawsze szczęśliwą), wcale się nie spodziewała przesyłki, jaką ją obdarzyć miała oddawna nie widywana, trochę zaniedbana sąsiadka Sędziny.

Siostry nie były z sobą w ścisłych stosunkach, odwiedzały się rzadko. Porochowa trochę się wstydziła Powitowskiej, krzywiąc na to, że jej mąż wywłokami frymaczył; Powitowska zaś gniewała się na nią za dumę i nieużyteczność, bo jej nigdy w najmniejszej rzeczy nie pomogła. Pięcioro dorastających dziatek, kłopoty gospodarskie, dość nieszczęśliwie prowadzone interessa, dom Powitowskich czyniły istnem piekiełkiem. Od rana do późnej nocy nie było tu spokoju.

Powitowski niesłodki, żona skwaszona zawsze, części goście z pretensyami końskiemi. kłótnie,

potem swary i krzyki dzieci, gderanie jejmości, napełniały dom wrzawą. Dostatku też nie było tu nigdy i ledwie się końce schodziły. Wysłanie sieroty do Powitowskich było tak nierozważnym krokiem, iż je chyba tylko gorącej chęci spłatania figla Sędzince kochanej przypisać było można.

Gdy Justka z kartką przyszła do dworku, i pocałowawszy w rękę gospodynię, oddała ją zdziwionej wielce, Powitowska długo nie mogła zrozumieć nawet o co to chodziło, nie przypuszczając, ażeby jej, przeciążonej rodziną, miał kto jeszcze jedno dziecko narzucać. Patrzała na Justkę, czytała, odczytywała. pluła. ruszała ramionami. i pobiegła z tem do męża, a dziewczę tymczasem. głodne, przysiadłszy na ławce w ganku, rozpatrywało się dokoła.

Dzieci, które krążyły zpoczątku zdaleka, zbliżać się i zaczepiać ją zaczęły. Zwolna robiły się znajomości. Justka nie wątpiła bynajmniej, że ją tu przyjmą. Tymczasem Powitowscy oboje przeciwko siostrze, która im kłopot nasłała, wykrzykiwali:

— Co ona myśli! Szpital u mnie czy co? A czemuż jej sama nie przyjęła, kiedy taka litościwa. Jedną gębą więcej w domu i na jednego więcej smarkacza patrzeć i dozorować—tego mi brakło!

— A co my mamy za obowiązek? — kończył

Powitowski — jak przyjechała, tak niech sobie jedzie. My tu dla niej miejsca nie mamy.

Wzburzeni oboje gniewali się okrutnie. Sama jejmość powróciła na ganek i wręcz oświadczyła sierocie:

— Tu dla ciebie miejsca niema! dość i tak jest gąb do karmienia. Jakeś przyjechała, tak ruszaj.

Kazano zawołać woźnicy, aby mu oświadczyć, żeby sobie zabrał sierotę nazad, ale fornal, mający rozkaz pani, zaledwie wysadziwszy Justkę, umknął.

Justka padła na ławę, płakała i wołała, że za nic w świecie już tam nie powróci. Powitowska zaś nawet do progu domu jej nie chciała dopuścić.

Szczęściem wdały się w sprawę dzieci, dla których dziewczę było nowością i rozrywką, jedne płacząc z Justką, drugie cisnąc się do niej z ciekawością. Wygnać jej tak precz nie było podobna. Gospodyni musiała się na wstawienie ulubieńców swoich ulitować sierocie, kazać ją zaprowadzić do garderoby. Pozwoliła jej tu spocząć, ale zapowiedziała, ażeby sobie gdzieindziej miejsca szukała.

Strwożona i zrozpaczona, w początku Justka, gdy dzieci tu za nią pogoniły i okazywać jej zaczęły wielkie i żywe współczucie, odzyskała trochę

męztwa. Położenie było wprawdzie gorsze, niż się spodziewała, ale była wolną; nie tu, to gdzieindziej musiała sobie znaleźć kątek. Ufała w Bogu.

W garderobie dzieci naprzód się postarały ją nakarmić, co ona wdzięcznie przyjęła, potem musiała pobawić się zniemi, choć ochoty do tego nie miała. Powitowska tymczasem po naradzie z mężem ferowała wyrok, ażeby sierotę gdzie oddać do klasztoru, bo tak wypuścić na zgubne imię w świat jużciż się nie godziło. Nie wiedziała o tem, że Justka, nasłuchawszy się u Sędziny różnych strasznych baśni o klasztornej niewoli, za nic w świecie-by się zamknąć w niej nie dała.

Dzieci wymodliły u matki, iż następny dzień dozwolone było sierocie spocząć tutaj.

Na noc odesłano ją na folwark ekonomowej.

Jest to prawdą niezaprzeczoną, że im się niżej schodzi w spółeczeństwie, w klassach uboższych, które cierpiały same i znają niedolę, tem więcej się znajduje współczucia dla niej niż u możnych, którzy nędzy wierzyć nie chcą, albo ją przypisują winie ludzi na nią wystawionych. Ekonomowa, gdy jej Justka historyą swą opowiedziała, zjęta została litością wielką dla biednego dziecka.

Ona sama uczynić nic nie mogła, ale chciała przynajmniej pokierować, obmyśleć cóś.

Z górą dziesięć lat mająca dziewczynka, umie-

jąca trochę prostszych robót kobiecych, rozgarniona, ochotna do pracy, niewymagająca, żeby też nie znalazła sobie przytułku na świecie! poczciwej kobiecinie się wierzyć nie chciało.

— Tu na wsi, po dworach, to ja tam nie wiem — poczęła Ekonomowa — ale gdyby się tylko dostała do miasta. W mieście za takiemi podlotkami się uganiają, bo to niewiele wymaga a zrobi więcej często, niż starsze, którym już co innego w głowie.

Ekonom, mąż posłuszny i pod pantoflem żony, podzielał jej zdanie, ale jak tu było, o czem, z kim do miasta ją dostawić?

Justka słuchała ciekawie. Myślała sobie, że gotowaby piechotą i o głodzie, ale drogi nie wiedziała — i niebezpiecznie było się tak puścić.

Na folwarku nakarmiono ją znowu i do późnej nocy trwały rozmowy, a dziewczę o sobie i o Sędzinie opowiadać musiało.

Posłano jej siana w alkierzu. Gdy położywszy się, usnęła, nie przebudziła się aż późno nazajutrz, bo dzieci ze dworu nadbiegły i wyzywały ją z sobą do zabawy.

Naprawdę z trochą dobrej woli Powitowska, nie obciążając się wcale, mogła Justkę u siebie przygarnąć, a byłaby się jej wypłaciła przy dozorze małych dzieci i robotkami, ale, na złość Porochowej, która narzucała jej ten miłosierny

uczynek, siostra za nic go spełnić nie chciała. Powtarzała, że u niej nie szpital, żeby jej nasyłano jakieś dzieciaki zpod ciemnej gwiazdy....

Nazajutrz dekretowaną była już Justka na wywiezienie do Brześcia... i wyrzucenie w miasteczku na łaskę Bożą. Tymczasem Ekonomowa się ulitowała, poszła do dworu i wyprosiła, ażeby jej oddano sierotę, a ona znajdzie sposób wyprawienia w świat bezpieczniejszego. Powitowska nie była rada z tego, że officyalistka litościwszą się od niej okazywała, ale chciała się pozbyć i Justce kazała się na folwark wybierać.

Ekonom tegoż dnia przypomniał sobie, iż z sąsiedniego majątku, klucza hrabiów B., transportował dzierżawca fur kilka masła na sprzedaż do Warszawy. Jeździła z nim zwykle pani ekonomowa, przyjaciółka ich, kobiecina młoda, ruchawa i wesoła, sama Warszawianka.

— Julisia nam tego nie odmówi, i dla miłości Bożej zabierze sierotę — odezwała się Ekonomowa z żywością. — Dowiedz się dziś do Julisi. Jabym sierotę u siebie na folwarku jako sługę mogła zatrzymać, bo-by się to opłaciło ale pani będzie solą w oku: niechaj jedzie!

Ekonom tedy z missyą tą, siadłszy na konia, dojechał do pani Julisi i tak ją historyą sieroty żywo zajął, że obiecała razem z masłem zabrać ją do Warszawy.

— Chyba Pan Bóg nie łaskaw, żebym ja jej tam kątku nie znalazła — dodała Julisia. — Już to, co prawda, w tem mojem Warszawsku można się równie uratować, jak zginąć, ale Bóg opiekun sierot. Dziewczyna śmiała, ja jej lada komu nie powierzę.

A że szło o pokazanie twardym sercom możniejszych ludzi, że mali się bez nich obejść i też cóś zrobić mogą, obie ekonomowe zajęły się gorąco sierotką. Starsza naprzód opatrzyła jej tobołek i znalazłszy wyprawę tak nędzną cóś do niej ze swoich rupieci dorzuciła. Ekonom ofiarował na nieprzewidziane wypadki—trzy złote!

Justka go ze łzami w ręce całować zaczęła: znalazła więc ludzi, serca, na które rachowała! Ponieważ z opowiadania się okazało, że elementarz był powodem niechęci Sędziny, a dla Justki upragnionym życzeń celem, wynaleziono aż dwa stare, któremi obdarzoną została. Pochodziły one ze dworu, ale tam swawolne dzieci szczególnego zamiłowania do czytania i nauki nie miały.

Justka była uszczęśliwiona szczególniej tym podarkiem i już w ciągu dnia zasiadała w ganku z wielkim zapałem, rozpoczynając jawnie studya. Sylabizowała głośno i zapominała o całym świecie.

Ekonomowej na ten widok łzy stawały w oczach.

Wprzódy jeszcze, nim masło miało się tran-

sportować, Julisia zażądała, aby jej przywieziono sierotę.

Nie miała własnych dzieci; młoda jeszcze, żwawa, a ruchawa, chciała się zająć sierotą opuszczoną przez panów.

Ileż-to razy takie uczucie współzawodnictwa do uczynków szlachetnych pobudza! Dopiero gdy Justka siadła na furkę, aby odjechać w drogę swych przeznaczeń, a dzieci Powitowskich płakać za nią zaczęły, pomiarkowała jejmość, że mogła tę małą i niekosztowną niańkę zużytkować; ale już było zapóźno.

Julisia przyjęła sierotę z wielkiem przejęciem się swą rolą opiekunki. Dziecko wprawdzie, tak jak teraz wyglądało, nie mogło obudzić innego uczucia, chyba politowanie; brakło jej wdzięku, a twarzyczka niewiele nawet obiecywała, ale z oczu patrzała bystrość i odwaga, a w słowach czuć było przedwczesną dojrzałość, jaką daje cierpienie.

Justka musiała tu powtórzyć znowu całą swą biografią, pobyt u Sędziny, nieznośną jej gniewliwość i prześladowanie.

— No, dobrze już jej tam być musiało — wykrzyknęła w końcu Julisia—kiedy o głodzie i jednej koszuli wolała w świat iść, niż pozostać tam dłużej.

Tu dodać-by należało, iż oprócz samej Sędziny,

córka jej faworytka, pieszczotami popsuta, także mentorką chcąc być sieroty, życie jej zatruwała.

Wspomnienie Sędzianki, panny Rozalii, która nieustannie śledziła, donosiła, dokuczała Justce, dotąd ją trwogą napełniało.

Z pociechą wielką myślała teraz, iż została raz nazawsze od nich wyzwoloną i że one prawa do niej najmniejszego nie miały. Przykro jej tylko było, że wuj biedny tęsknić po niej i frasować się o jej los musiał i od Sędziny znosić wymówki, ale nie przypuszczała, aby starego, niewinnego za jej winę prześladować miano.

Nim masło i fury były gotowe, ekonomowa Julisia zlepiła ze swoich starych, dwie nowe sukienki dla sieroty, wyłatała trzy koszule, i nawet trzy chustki do nosa dodała do wyprawy.

Tłómoczek z Baranówki wyniesiony skutkiem tego miłosierdzia Bożego powiększył się we troje. Justka wróżyła ztąd, że i przyszłość gorszą być nie może.

Masło Julisi—prawdę rzekłszy, nie potrzebowało opieki jej i trudzenia się z niem do Warszawy, było bowiem zawsze hurtem zakupywane przez restauracyą hotelu Gerlacha, i pod lada czyim dozorem mogło się dostać na miejsce; ale Julisia była dzieckiem tutejszego bruku i tak kochała to swoje miasto, iż wszelkich środków używała, aby się dostać do niego, potem, żeby choć dni kilka tu zabawić.

Córka niemajętnego przekupnia, ładna, żywa, zawczasu dojrzała, ale nie zepsuta, bo naówczas jeszcze religijne usposobienie ludności nigdy jej bardzo nizko upaść nie pozwalało, Julisia spędziła pierwsze lata pod skrzydłem — nie matki, niestety, ale ojca tylko. Ten nazbyt był swoim handelkiem zajęty, ażeby córki mógł dopilnować, więc młodość była i dość burzliwa i jakąś katastrofą się skończyła. Julisia wyszła z niej jesz-

cze stosunkowo dość szczęśliwie; doświadczenie smutne uczyniło ją ostrożniejszą i—znajomość przypadkowa z panem ekonomem skończyła się małżeństwem.

Musiała z nim jechać na wieś, nie bez żalu i tęsknoty po Warszawie. Z tych lat wesołej, nieopatrznej młodości pozostały jej niezatarte wspomnienia. Ile razy więc odżywić je mogła odwiedzinami i choć krótkim pobytem, niezmiernie się czuła szczęśliwą. Sam widok ukochanego miasta wprawiał ją w uniesienie; wszystkie wspomnienia dni wesołych bez jutra poruszały sercem jej odmłodzonem, lice się śmiało, a z oczek łzy spływały.

Zajeżdżała zwykle do starego ojca, który, powtórnie ożeniony, prowadził dalej swój handelek, nie mogąc się na nim dorobić nic, ale mając z niego utrzymanie.

Julisia teraz wydawała się tu wielką panią, bo jej działo się dobrze. Na jej przybycie w domku przy ulicy Bednarskiej opróżniała macocha pokój i ojciec był na jej usługi. Teraz też spodziewano się tych odwiedzin, powracających w pewnych terminach—i przyjęto ekonomową z wielką radością.

Rozumie się, że ze wsi zawsze z nią coś dla ojca przyjeżdżało: serki zawiędłe, faseczka mary-

nowanych rydzów, wędzone kiełbasy wiejskie, worek kaszy obwarzanej i t. p.

Zdziwił się stary Franaszek, gdyż tak się zwał ojciec ekonomowej, gdy oprócz córki ujrzał wysiadające z bryczki dosyć niepozorne dziewczę. Wziął ją za dziewczynkę do usług.

Ale nim macocha kawę podała, która naprzód była gotową — już Julisia historyą sierotki opowiedziała—i—ojcu oznajmiła, iż musi się starać pomódz, aby dziewczynina umieściła się gdzie bezpiecznie.

Nie zdawało się to w początku bardzo trudnem zadaniem, gdyż rąk pracowitych zawsze potrzebują ludzie, tylko, że te rączęta i słabe były jeszcze i niewiele umiały, a dziewczyna zbyt młoda.

Franaszek, poskrobawszy się w głowę, dokończył:—Eh! jakoś to będzie!

Justka w ciągu podróży, przybycia i tych pierwszych chwil pobytu, tak była przejętą, zdumioną, ogłuszoną tem, co ją otaczało, że o sobie i swym losie prawie zapomniała. Żywy jej umysł napróżno się silił ten ruch, to życie gorączkowe, tę różnobarwność zjawisk, wytłómaczyć sobie. Widziała i tu, taksamo jak na wsi, możniejszych i uboższych—dostatki i nędzę, ale wszystko to inaczej niż na wsi wyglądało, inaczej ocierało się o siebie.

Wyobraźnią dziewczę szukało miejsca dla wła-

snej swej pracy i znaleźć go ani obmyślić nie mogło. Takich wyrostków, jak ona, wśród tłumu prawie nie było.

Usłyszała Franaszka, który po rozmowie z córką dodał w końcu:

— A gdyby się na razie nie dało pomieścić jej, to zostanie u nas jakiś czas. Będzie pomagać jejmości; tylko u nas dla niej przyszłości niema, nie nauczy się nic.

Pomimo najlepszej chęci Julisi, mimo jej stręczeń, pytań, nie udało się Justysi umieścić. Kto ją zobaczył chudą, żółtą, niesformowaną, niepozorną, z tym wyglądem słabowitym, lękał się takiego chrząszcza wziąć do domu, nie spodziewając się po nim pomocy.

Justka zresztą, niemogąc sama sobie tu nic radzić, nieznając miejsca ani ludzi, musiała zdać się na łaskę Julisi i Franaszka — i czekać; a że do roboty nie miała nic, oprócz swojego ukochanego elementarza, z którym po całych dniach siedzieć nie było podobna, pomagała więc Franaszkowej, zamiatała, prasowała, popisywała się ze wszystkiemi wiadomościami nabytemi u Sędziny.

Stała się tak użyteczną w domu, iż może to właśnie wstrzymało starego przekupnia od gorliwego poszukiwania dla niej innego umieszczenia.

Julisi już potrzeba było powracać, choć się z tem ociągała — jak mogła, bo jej tu wesoło dni

płynęły, a miejsca dla sieroty ani widoku, ani nadziei nie miała.

Franaszek powtarzał:—No, to do czasu niechaj przy jejmości pobędzie.

I na tem się skończyło.

Justka nie ubolewała zbytnio nad swym losem: najpierw nie zakazywano jej wcale elementarza, nie łajała Franaszkowa, przynajmniej dopóty, dopóki Julisia tu była; pracą zbyteczną jej nie zamęczano, a ta, która na nią spadała, sił jej nie przechodziła.

Tylko przyszłości w tem nie było żadnej.

W dzień odjazdu Julisi dziewczę się jej do nóg rzuciło, dziękując za opiekę. Franaszek zapewnił córkę, że miejsce wyszuka doskonałe, i tak Justka tymczasowo pozostała pomocnicą pani Franaszkowej.

Druga ta żona starego już przekupnia, który, nie siląc się bardzo na wymysły, handelek swój starą prowadził rutyną — wdowa po mieszczaninie, niegdyś bardzo piękna i płocha, nieszczególną była kobietą. Męża oszukiwała we wszystkiem, wiodła życie poza domem, gospodarstwem mało się zajmowała, a leniwą była niezmiernie.

Justka jej była bardzo na rękę: roztropna, sumienna, pracowita, wyręczała ją we wszystkiem.

Justkę to wbijało w pychę, a jejmości wygodnem było. Zpoczątku Franaszkowa obchodziła się z nią łagodnie i starała się ją sobie pozyskać, ale, raz podbiwszy, i widząc, że dziewczę jest powolne, jejmość poczęła miarę przebierać.

Do elementarza czasu coraz mniej pozostawało. Kucharkę posyłano, dawano jej polecenia, sama jejmość nie robiła nic, i—począwszy od zamiatania i szorowania — zajęcia domowe stopniowo wszystkie spadły na Justkę. Jeżeli czego nie zrobiła w porę, jejmość bąkała, że darmo chleb je.

Zamęczała się sierota, bo miała dobrą wolę, ale z dniem każdym wymagania rosły, nie było im końca. Pocichu, ostrożnie, raz poskarżyła się Franaszkowi, stęknęła—ale stary, uprzedzony zapewne przez żonę, odparł sentencyonalnie, że niema gorszej rzeczy dla młodych nad próżnowanie.

Trafiło się nareszcie, że, powróciwszy zła z miasta, Franaszkowa zastała Justkę nad elementarzem i rzuciła go w piec, bo jej kołnierzyki i mankietki nie były odprasowane.

Sierotka zaczynała myśleć o sobie; widziała, że Franaszkowie dla niej nic się nie starali znaleźć, nie szukali, i mowy nawet o tem nie było. Do Julisi się zgłosić nie miała sposobu, poradzić się nie było z kim. Popłakiwała znowu.

Całą jej pociechą bywało tylko, gdy jejmość, która na starą kucharkę w zakupach się spuścić nie mogła, posyłała ją na miasto; naówczas mogła odetchnąć, popatrzeć, spocząć jakąś chwilę swobodniej. Trafiało się to dosyć często.

Jednego dnia, powracając rano z targu za Żelazną Bramą, zatrzymała się trochę Justka w Saskim Ogrodzie. Ranek był bardzo piękny, chorzy pili wody, przechadzając się, życie jakieś szczęśliwsze, jaśniejsze uśmiechało się tu sierocie. Dzieci i dziewczątka jej wieku, które tu spotyka-

ła, tak wydawały się rozpromienionemi, tak były wesołe, rade ze świata i z siebie!

Justkę ten obrazek tak zajął żywo, iż pomimo pośpiechu, jaki jej zalecano, zatrzymała się trochę, nie mogła się od niego oderwać.

Było więc inne życie na tymsamym świecie, nie ciężące takiem brzemieniem już od dni młodych. Cóż byli ci wybrani, którym udział w niem się dostał?

Dlaczego oni tylko, a nie wszyscy? Dziecko smutnie tak marzyło, gdy uwagę jej ściągnął siwowłosy, miłego bardzo oblicza starzec, który siedział na bocznej ławeczce zadumany, sparty na lasce. Opierając się na niej, patrzał tak po ogrodzie, po ludziach, gdy nagle laska mu się z rąk wysunęła, upadła na ziemię. Staruszek ruszył się z ciężkością, aby ją podnieść, ale osłabłe nogi się zachwiały i padł na jedno kolano, a byłby całkiem się obalił, gdyby Justka, śpiesznie podbiegłszy, nie podchwyciła go z całych sił pod rękę, a drugą laski nie podała. Wykonała to tak zręcznie i prędko, że mocno przestraszony staruszek, chociaż mówić nie mógł, zaczął się wdzięcznie uśmiechać. Krew uderzyła mu do głowy, potrzebował długiej chwili, nim zupełnie przyszedł do siebie.

Justka, spełniwszy tę posługę, już się oddalić chciała, gdy stary, mocno ją pochwyciwszy za su-

kienkę—zatrzymał. Mówić nie mógł jeszcze, ale dawał jej znaki, ażeby nie odchodziła. Sądząc, że jeszcze pomocy jej potrzebować będzie, choć śpieszno jej było, musiała przy nim pozostać.

Odetchnął parę razy ciężko, pokaszlał, otarł ręką drżącą pot z czoła i uśmiechając się łagodnie do Justki, rozpytywać ją począł.

Na Justce czynił szczególne wrażenie. Zdawało się jej, że nigdy w życiu takiego człowieka nie widziała, nie słyszała głosu podobnego. Stał przed nią jak jeden z posągów świętych w kościele, z twarzą taką dobroci serdecznej pełną, iż nie trzeba było czasu wiele, aby go poznać; cała dusza była w obliczu i głosie.

Z czułością wpatrywał się on w Justkę i trzymał rękę białą, drżącą na jej ramieniu, jakby się obawiał, aby mu nie uciekła. Oczy jego, może skutkiem przestrachu i znużenia, pływały we łzach.

Dziewczę, jak przed księdzem na spowiedzi, nie wahało się ani na chwilkę o sobie powiedzieć od początku życia, aż do tych dni ostatnich... wszystko a wszystko.

Tak jej było miło, lekko zwierzyć to starcowi, słuchającemu ze współczuciem, rozpytującemu o szczegóły.

Nigdy nikt jeszcze tak jej nie słuchał, tak się losem jej nie zajmował. Chciał wiedzieć jak te-

raz jej było, co obiecano na przyszłość, nie puszczał dziewczęcia od siebie, a Justka też, choć opóźniła się mocno, nie miała siły odejść, tak się czuła pod opieką, pod okiem tego nieznajomego bezpieczną i spokojną.

Rozmowa przedłużała się. jakby umyślnie, staruszek na ramieniu jej trzymał rękę—gdy z ogrodu nadeszła ze szklanką wody, kobieta niemłoda, ubrana jak dostatniego domu sługa, z twarzą, na wzór pana, pełną wyrazu dobroci.

— Patrzaj-że, Marto moja—odezwał się do niej już zdała stary.—Gdyby nie ta mała, leżałbym na ziemi i nie byłoby mnie podnieść komu.—a ciężki jestem.

Nadchodząca postawiła szklankę na stoliczku i ręce załamała, ciekawie się wpatrując w Justkę. Stary i ona dawali sobie jakieś tajemnicze znaki; Marta, zdziwiona, zbliżała się coraz do sieroty.

Staruszek tymczasem opowiadał jej wesoło swoję przygodę: jak laska mu upadła, noga się osunęła i on już jednem kolanem był na ziemi, gdy Justka go tak zręcznie chwyciła pod ramię i podniosła.

A wśród tej opowieści on i Marta ciągle sobie dawali znaki, z podziwieniem jakiemś i prawie radością patrząc na sierotkę. Zkolei Marta rozpytywać ją chciała, ale stary, który już wiedział wszystko, sam ją objaśniać zaczął.

Wybijająca godzina, przestrachem napełniła Justkę, która chwyciwszy koszyk, pocałowała w rękę staruszka i chciała biedz do domu, bo się spóźniła bardzo, i wiedziała już, jaka ją tam burza i wymówki czekały.

Marta usiłowała ją zatrzymać, Justka powiedziała otwarcie, że się lęka.

— Inaczej to zrobić trzeba — rzekł, mrugając na kobietę, staruszek.—Podaj mi rękę i zaprowadź do dorożki, pojadę do domu, a ty, albo pieszo albo w dorożce też, odwieź to dziecko do jej opiekunów.

Tu pochylił się do ucha Marty i dokończył instrukcyi pocichu, a zwróciwszy się do Justki, dodał:

— My się zobaczymy, moja kochana, więc nie żegnam, a za to, żeś mnie uratowała od upadku, będę się starał odwdzięczyć.

Justka chociaż jej błogo było z tymi ludźmi i przeżyła chwilę tak szczęśliwą, jakiej w życiu nie pamiętała, zasmuciła się bardzo teraz, przewidując skutki, jakie opóźnienie pociągnie za sobą.

Zwierzyła się z tego nawet towarzyszącej jej starej Marcie, która zapowniała, że potrafi ją uniewinnić i wytłómaczyć. Wciągu zaś jazdy na Bednarską ulicę, nie przestawała się rozpytywać, badać i zakończyła tem, że jeśli Justka lepszego miejsca nie znajdzie, ona ją sama chce

wziąć do siebie i będzie razem z nią na usługach u tego starego dobrego pana, do którego los ją zbliżył w ogrodzie.

Justka na samo wspomnienie takiego szczęścia obawiała się szaleństwa. Całowała Martę po rękach i kolanach.

— A! weźcie mnie! weźcie do siebie!

Staruszek i panna Marta wydawali się jej po innych ludziach aniołami.

— Sama się w to nie wdawaj—dodała w końcu Marta—ja pogadam i postaram się, aby to doszło do skutku.

Stanąwszy przede drzwiami Franaszkowej, znaleźli ją samą, w progu, z rękami na bokach, czerwoną, nadąsaną, widocznie oczekującą na nieszczęśliwą swą ofiarę. Zdziwienie było ogromne, gdy zobaczyła ją wysiadającą z doróżki, w towarzystwie poważnej i dostatnio ubranej kobiety.

Panna Marta, wytrawna i doświadczona, umiała sobie z ludźmi dać radę; nim Franaszkowa przemówiła, rozpoczęła sama opowiadanie i tłómaczenie. Choć kwaśna i nachmurzona, nie miała na to co odpowiedzieć jejmość,—i rada nie rada — gdy Justka z koszykiem biegła do kuchni, wprowadziła do mieszkania przybyłą p. Martę.

Strwożona jeszcze Justka, nieśmiąc wejść do

pokoju, pozostała w kuchni i nie słyszała co z sobą mówiły. Uważała tylko, że potem, odprowadzając ją p. Martę, Franaszkowa była z wielkiem dla niej uszanowaniem.

Justka przybliżyła się, aby ją pożegnać; a ona, całując w głowę, szepnęła do ucha:—Ja tu wkrótce powrócę.

Po wyjeździe p. Marty, nie myśląc o łajaniu i wyrzutach, Franaszkowa kazała sobie opowiedzieć przygodę całą w Saskim Ogrodzie, opisać starego, powtórzyć jego wyrazy—i ruszała ciągle ramionami.

Wkrótce potem przyszedł do domu na spóźniony obiad sam Franaszek i temu trzeba było znowu opowiadać, opisywać, powtarzać tożsamo.

Franaszkowa wygadała się głośno z tem, że stary ów pan chce niby Justkę wziąć na swą opiekę, dodając z przekąsem: że łaska pańska na pstrym koniu jeździ, że juści jej tu u nich źle nie było i głodem nie marła.

Widać było, że nie radzi się jej teraz pozbywali, lecz myśleli o wyciągnieniu z tego jakiejś korzyści dla siebie, że ją oddadzą.

Przez dni parę p. Marta się nie zgłaszała i już Justka wątpić zaczęła, ażeby się piękne obietnice ziściły, gdy po południu zajechała dorożka, przy-

jechała Marta i po półgodzinnej rozmowie z Franaszkową kazano się Justce wybierać.

Dziewczę z sercem wdzięcznem pośpieszyło pozbierać gałganki, podziękowało obojgu Franaszkom—i—p. Marta zabrała ją z sobą.

Miała słabość p. Franaszkowa potem powtarzać: że się Justce poszczęściło, spotkał ją bowiem los, jakiego się nigdy spodziewać nie mogła.

Staruszek ów był osierocony i bez rodziny, stęskniony zatem, ażeby się do kogóś mógł przywiązać. Traf zrządził, że ta Justka, która tak w porę podbiegła mu na pomoc, przypominała twarzyczką i rysami ostatnią wnuczkę straconą. Dwie razem okoliczności mówiły za sierotą: to jej podobieństwo i rzucenie się do staruszka w chwili, gdy potrzebował pomocy. Stary pan baron Raun, obywatel z Inflant, wskutek poniesionych strat i cierpień, podrażniony niemi, stał się niemal zabobonnym. Wyobrażał więc sobie, iż był w tem palec Opatrzności, która mu umyślnie sierotę nastręczyła, aby dać jakąś pociechę.

Od pierwszej chwili powiedział sobie, że powinien był zająć się jej losem.!

Poczciwa stara sługa, Marta. widząc go oddawna tak w nieuleczonym pogrążonego smutku, że

go nawet na chwilę nic rozerwać nie mogło, chwyciła się tej myśli, poczęła do spełnienia jej zachęcać, i tak Justka znalazła nagle, nietylko opiekuna, ale przyszłość najświetniejszą, otwartą przed sobą.

Od wstąpienia na próg domu barona Rauna, nakarmiona, upieszczona, stała się przedmiotem troskliwości jego i panny Marty. Niczem się tu nie zajmowano, tylko nią. O użyciu jej do robót, do posług, mowy nawet nie było. Ponieważ miała chęć do nauki, baron zaraz zajął się wyszukaniem nauczycielki. Marta tymczasem od stóp do głów musiała ją nanowo oporządzać, gdyż od Franaszków przyniosła tylko strzępki i łachmany.

Szczęście takie po długich latach utrapień i nędzy, zaprawdę mogło nawet daleko dojrzalszą głowę i umysł niemal do szaleństwa upoić. Któż z nas nie powiada sobie, że zasłużył na to, co mu szczęśliwego los zsyła? Nigdy do winy się nie przyznajemy, lecz do nagrody zawsze rościmy sobie prawa. Justka mogła powiedzieć w duchu, iż Pan Bóg ją szczególniej umiłował, bo też była tego warta, mogła się wbić w pychę i zarozumiałość...

Jak się to stało, że jej pieszczoty starego barona nie popsuły? trudno wytłómaczyć; była może

nadto długo uciśnioną i przybitą, ażeby nawet zaufać, iż to szczęście potrwa.

Utkwiły w niej przepowiednie Franaszkowej o pstrym koniu i przebąkiwania, że kaprysy pańskie niedługo trwają, że, jak dziś ją pieszczą i głaszcząc, tak jutro mogą wypchnąć na ulicę.

Justka wistocie więcej obawy miała niż zaufania w przyszłości — ale robiła z siebie co tylko mogła, aby staremu baronowi, p. Marcie przypodobać się, być powolną, myśli ich odgadywać.

Pierwsze dni dla starego barona szczególniej były jakby odżywieniem i powrotem do dawno zapomnianego stanu, od dosyć długiego już czasu osamotniony, chory, nie miał się czem zająć, męczył się, nudził, ciążyło mu życie. Nagle ta sierotka, której los wziął na siebie, myśli jego zwróciła w innym kierunku.

Panna Marta postrzegła uśmiech dawno niebywały na twarzy; nie skarżył się, posyłał, zapisywał coś, przywoływał Justkę, badał ją, cieszył się, najmniejszemi szczegółami dotyczącemi jej gorąco się zajmował. Marcie usiedzieć nie dał w miejscu, a dzień upłynął szybko. niepostrzeżony, i baron zasypiał potem prędko i spokojnie, czego oddawna nie pamiętano.

Następnych dni przybywały polecane nauczycielki, przynoszono sukienki, przebierano, myto, czesano, trefiono dziecko zaniedbane od dziecin-

stwa. Baron o każdy szczegół się dowiadywał i nic nie uszło jego troskliwości. Podobieństwo do ostatniej wnuczki coraz bardziej znajdował uderzającem.

Stara panna, niegdyś guwernantka, teraz już żyjąca z procenciku od uzbieranego kapitału i odpoczywająca od lat kilku, nakłonić się dała do kierowania nauką i przychodzenia na godzin kilka codziennie do Justki. Baron byłby ją wziął nawet do domu, ale trochę zdziwaczała panna Jolanta, nie dała się nakłonić do tej, jak ją zwała niewoli.

Oprócz tego położyła za warunek, że jeśli uczennica nie okaże zdolności, a charakter jej nie podoba się nauczycielce, będzie miała prawo oddalić się choćby po miesiącu.

Nie trzeba z tego wnosić jednak, aby panna Jolanta zbyt była trudną i wymagającą, owszem, łagodna i wyrozumiała, żądała tylko w uczennicach ochoty do nauki i serca, któreby zapowiadało umiłowanie prawdy, a piękna. Marzycielka, poetka, panna Jolanta tyle w życiu doznała zawodów i zmarnowała pracy i trudu, iż do ofiar nadaremnych nie miała już popędu, a w poprawę nie bardzo wierzyła.

Ale Justka od pierwszych dni zyskała sobie jej serce miłością nauki i pragnieniem oświecenia się, chciwością jakąś do przyswojenia sobie co najwięcej.

4*

Panna Jolanta obawiała się tylko, aby ta gorączka nie przeszła, i powstrzymywała zapędy.

Można sobie wyobrazić, ile było do czynienia z takiem dziewczęciem, które wzrosło między kredensem, garderobą i kuchnią, a nagle przesadzone zostało do salonu.

Począwszy od chodu i mowy, wszystko reformować musiano. Nie umiała nic, ale instynkta były dobre. Smiała się panna Jolanta, panna Marta, a baron Raun utrzymywał, że zrobiła postępy niesłychane.

Powróćmy na chwilę do Baranówki, i spójrzmy, jakie następstwa pociągnęła za sobą ucieczka sieroty.

Tak dalece nikt się nie domyślał i nie przypuszczał, iżby coś podobnego dokonać się mogło, że gdy zrana powstawały dziewczęta w garderobie, panna Hanna i Sędzina, gdy szycie zwykłym trybem się rozpoczęło—wprawdzie obejrzano się, iż Justki nie było, ale posądzono, że wybiegła, albo łasować w ogrodzie około agrestu, albo na tok do wuja. W końcu jednak po kilku godzinach, kiedy szukać jej. wołać, posyłać po nią poczęła panna Hanna. a nigdzie ani śladu nie znaleziono, wuj zaś oświadczył pod przysięgą, że na oczy jej nie widział,—Sędzina się nastraszyła.

Znała żywość i krnąbrność dziewczęcia, obawiała się jakiego nieszczęścia, przyszła jej na myśl dziewczyna, która przed laty kilku, prześladowana przez ekonomową, w stawie się utopiła.

Na wszystkie strony porozsyłano szukać i py-

tać, ale napróżno. Dziewczęta odkryły, że w kuferku wiele drobnych rzeczy brakło, chustki dużej i rozmaitych podarków od gości. To dawało do myślenia, że—mogła uciec.

Dokąd?

Posłano arendarza do miasteczka, wuj siadł na koń niespokojny, od wioski do wioski jeżdżąc i rozpytując po chatach i karczemkach.

Tegoż dnia po południu, naumyślnie, ażeby się przekonać, co się dzieje w Baranówce, przyjechała w odwiedziny Porochowa, czulsza i serdeczniejsza, niż kiedykolwiek.

Sędzinę to kolnęło.

— Oho! już wie Porochowa!

Wyszła do niej z twarzą, którą usiłowała uczynić łagodną, postanowiwszy o wypadku ani wspomnieć. Przyjaciółka też, która z sobą przywiozła córkę, dla towarzystwa panny Rozalii (Sędzianki), zdawała się stęsknioną za sąsiadką, rozmiłowaną w niej, a niezmiernie troskliwą o wszystko, co się działo w tej Baranówce, której gospodarstwo, życie, zarząd cały wzbudzały w niej uwielbienie i zazdrość.

— Już to nam uczyć się u pani Sędziny dobrodziejki — mówiła. — Żaden-by mężczyzna nie potrafił i w interessach i koło roli i wszędzie takiego utrzymać porządku. My tylko patrzymy, zazdroszcząc.

Sędzina, krzywiąc się, przyjmowała to kadzidło, którego woń dwuznaczną czuła

Porochowa była tak zuchwała, że nawet obchodzenie się z ludźmi i dobrotliwość Sędziny chwaliła, oskarżając siebie, że ona z tą hałastrą inaczej jak rygorem nie umie sobie radzić. Narzekała na sługi.

Sędzina nic nie odpowiedziała. Przyniesiono kawę.

W ciągu tej rozmowy panny dwie, równie się kochające, jak matki, mniej zręcznie brały się też na spytki i wypaplała się panna Rozalia, że ten szurgot, ten nicpoń Justka prawdopodobnie niewiadomo dokąd uciekła, a panna Leokadya nie umiała się z tem utaić, że już o tem—wiedziała.

Po kawie, nasyciwszy się nią i frasunkiem Sędzinki, pani Porochowa odjechała wielce uradowana.

Drobny ten wypadeczek, któremu każdy mógł nadać znaczenie, jakie chciał, lotem błyskawicy rozszedł się po sąsiedztwie.

Niebardzo ukochaną była Sędzina, naturalnie więc skorzystano z tego, aby ją oczernić, wystawić jako kobietę nielitościwą, nieznośną, jako jędzę. Porochowa broniła sąsiadki, a umiała tak stawać w jej obronie, że się jeszcze wydawała czarniejszą. Nie oskarżała serca, obwiniała tem-

perament nieznośny, nieukrócony i dawała do zrozumienia, że nieboszczyk Sędzia padł jego ofiarą. choć żona go kochała. Uczyniono z biednej gderliwej kobiety złośnicę i passyonatkę, której strzedz się należało.

Ciekawsi poczęli przybywać do Baranówki, aby się dowiedzieć z własnych ust obwinionej, co mogło być powodem takiego wybryku biednej dziewczyny, o której losie nikt nie wiedział.

W rozpaczy był wuj biedny, płakał jak bóbr, w duszy obwiniał Sędzinę, ale i siebie razem, bo powinien był, gdy mu się skarżyła sierota, starać się ją gdzieindziej umieścić. W dodatku Sędzinka miała do niego srogi żal, że nie zapobiegł temu—o czem on wcale nie wiedział, na co poprzysięgał. Stary, który na całym szerokim świecie nie miał nikogo tylko jednę tę Justkę, na samą myśl, że mogła sobie w rozpaczy odebrać życie, szalał biedny, wyrzucał sobie, iż gdy raz ostatni przychodziła się skarżyć, nie porzucił służby i nie poszedł precz, zabrawszy ją w świat. Miał uciułanych około tysiąca złotych, zdawało mu się, że z tem długoby żyć byli mogli.

Wypłakawszy stare oczy, do służby stracił ochotę, energią i sam widział, że mu teraz z kupy odkradano ziarno, a nie dbał już o to.

Sędzina gderała i odgrażała się.

— Niech mnie wypędzi! — mruczał — no, to

co?—pójdę! Poszła ona, i mnie tu nie ma co robić.

Włóczył się jednak stary i nie odchodził.

Czas jakiś upłynął, nie wyjaśniła się tajemnica zupełnie, lecz współudział w ucieczce pani Porochowej przez wygadanie się popijanemu starego fornala został zdradzony. Była to jeszcze plotka tylko, wszakże łączyły się z nią takie szczegóły, iż wyssane z palca być nie mogły. Ponieważ Sędzinka musiała o wszystkiem wiedzieć, a panna Hanna miała rozliczne wiadomości, pierwsza więc ona przyniosła swej pani zeznanie fornala.

Sędzince się oczy zapaliły, klasnęła w ręce.

— A co! — zawołała — nie mówiłam! była w tem przyjacielska rączka mojej kochanej sąsiadeczki. Mnie też to zaraz uderzyło, iż nazajutrz po ucieczce—tyc... i ona już tu jest. Chciała poniuchać, co u mnie czuć!

Sędzinka, jako żywo, nie domyślała się wprzódy udziału sąsiadki, ale miała zwyczaj zawsze po wtarzać: — A nie mówiłam!

Serdecznie chciała się zemścić, ale jak?—to potrzebowało namysłu. Tymczasem w sercu na rachunek pani Porochowej zapisano Justkę.

Z garderoby od panny Hanny owa plotka o fornalu dostała się do starego wuja, którego

dziewczęta poszły spytać: czy on o tem nie wiedział? Gumienny się przeżegnał.

— Jako żywo! nie wiem nic!

Ale nazajutrz na koń siadł, do karczemki Zdunowskiej, w której starego fornala często nad półkwaterką widywał.

Przy karczemce tej był młynek wodny, więc zajazd ciągły, wyszynk duży, gości zawsze wesołych dosyć i stare fornalisko lubiło sobie tu podweselić się.

Gumienny znalazł go tym razem. Wiedział, że wprost go badając, nic z niego nie dobędzie, ale przysiadł się. wódki kazał dać i naprzód go spoił.

Dopiero, gdy dworakowi już w starej głowie się zmąciło, począł ciągnąć z niego gumienny ostrożnie. Fornal albo nie wiedział lub zapomniał, że dziewczę było siostrzenicą gumiennego.

Wrozmowie o sąsiedzkich stosunkach cóś mu si' wymknęło, ale gdy gumienny. za tę nitkę pochwyciwszy, chciał dalej badać, fornal usta zamknął i ani mruknął.

Nie ulegało dla niego wątpliwości teraz, że Justka żyć musiała i gdzieś była umieszczona przez Porochową, a że wiedział o jej siostrze, wpadł na tę myśl, iż mogła się u niej znajdować.

Stary tak kochał to dziecko, iż, choć mu bardzo było trudno się oddalić, wyprosił u Sędziny pozwolenie pojechania na odpust. Zamiast do kościoła puścił się do zupełnie sobie nieznajomych ludzi, do Powitowskich.

Poszczęściło mu się, znalazł samą jejmość w takiem usposobieniu dla siostry, iż wcale tajemnicy czynić nie myślała z tego, co się jej tyczyło.

— A no — odparła — co prawda to prawda! Przysłała mi jakąś sierotę, ale u mnie nie szpital; dzieci mam dosyć, nie mogłam jej hodować. Powieźli ją potem do Warszawy. Nie wiem co się z nią stało.

Na miejscu będąc, stary dotarł aż do Julisi; od niej się dowiedział, że Justka dostała się do Warszawy, a ekonomowa zarazem upewniła go, iż, jak u Pana Boga za piecem, ma i pieczone i warzone, że tam ją Franaszkowie jak własne dziecko pieszczą, że jej chyba ptasiego mleka braknie i t. p.

Staremu się lżej na sercu zrobiło, do kolan aż przypadł Julisi, dziękując jej za miłosierne serce, i powrócił do Baranówki tak dobrej myśli, wesół, odmłodzony, iż Sędzinka to odpustowi i pobożności jego przypisywała, jako cud.

Nie wydał się jednak z tem, co wiedział, stary,

teraz tylko już rozmyślając, czyby mu jakim sposobem, z transportem, z kimś, z czemś, jakoś nie podobna było dostać się do Warszawy i Justysi zobaczyć!

Kilka lat upłynęło od zniknięcia sieroty z Baranówki, a o biednej takiej istocie, ażeby zapomnieć zupełnie, tak długiego nie potrzeba czasu. Pamiętał o niej tylko mocno już postarzały i nogami suwający gumienny, który jednakże z szuflą i miotłą pozostawał na stanowisku w stodole, bo Sędzinka zmieniać sitek nie lubiła. Czasem z urazą może wspominała o niej sama jejmość, czując w duszy, że źle nie życzyła sierocie, ale zaszorstko i zaostro się z nią obchodziła. Nazywała ją niewdzięczną i głupią. Pani Porochowa, przypominając sobie zabawny figiel, który spłatała sąsiadce, cieszyła się, że się jej powiódł, a nie sądziła, ażeby Sędzina o współudziale w tem miała jaką wiadomość. Panie obie pozostały z sobą na tymsamym stopniu przyzwoitych sąsiedzkich stosunków, jakie je oddawna łączyły.

Baranówka nigdy nic nie potrzebowała od Zdunowa, a Zdunów niekiedy uciekał się o rozmaite

małe na przednówkach pożyczki, które Sędzinka chętnie czyniła, aby okazać, jak była zasobną i opatrzoną.

Dwie panienki dorastały, widując się w kościele, na plebanii, czasem odwiedzając, ale ściślejsza przyjaźń, między rówieśniczkami naturalna i pożądana, zawiązać się nie mogła, bo obie od matek nasłuchały się wszystkiego, co zrazić mogło i zniechęcić. W obu domach byli też kawalerowie: u Sędziny syn ukochany pan Leon. dorastający i pod wąsem, w Zdunowie pan Aureli. Chłopcy pomiędzy sobą, spotykając się częściej na polach i w lasach, na poufalszej byli stopie.

Jeden i drugi, na wsi innego nie mając towarzystwa, potrzebowali się nawzajem, a choć matki na to krzywo patrzały, odwiedzali się w officynach, polowali razem i wymykali się do miasteczka.

Sędzinka i pani Porochowa nie były temu rade, a gdy młodzież im się przedstawiała, poddawały ją ostrej krytyce.

Porochowa znajdowała, że Leon, „czysta mamunia“, był gdera, złośliwy, szorstki i niemiły w towarzystwie; Sędzinka w panu Aurelim widziała matkę też nieopatrzną, złą gospodynię, płochą i chytrą.

Panienki miały może o nich inne wyobrażenie

i byłyby się chętnie zbliżyć dozwoliły—ale mamy miały na to oko.

Aureli Poroch, według matki, miał świetne widoki przyszłości. Chłopak był ładny, elegant, dowcipny, w towarzystwie miły W Warszawie, gdzie kończył wychowanie, miał (według własnych już zeznań) powodzenie wielkie. Mama była najpewniejszą, iż sobie krociowe lub milionowe serduszko pożyszcze. Było ono potrzebne, bo interesa Zdunowa pod zarządem wdowy stały coraz gorzej, długi rosły; a że sobie niczego odmówić nie umiano, a dzieci szły za przykładem mamy, z każdym więc dniem położenie przykrzejszem się stawało. Porochowa nie znała na to innej rady nad narzekanie na świat i ludzi. Los, oni—wszystko było winnem, tylko nie ona. Innym się wiodło, jej.... Było to dowodem, że poczciwym, cnotliwym i tym podobnym nigdy się nie powodzi. Czasami, kładąc kabałę i marząc o niebieskich migdałach, które spaść były powinny na nich, wzdychała, dodając: że nie warto być poczciwym na tym niegodnym świecie.

Do goryczy innych łączyła się i ta, że o córkę nikt się dotąd nie starał, a była piękna, rozbudzona bardzo, ożywiona i choć wychowania nie odebrała świetnego, choć trąciła mocno parafiańszczyzną zarozumiałą, podobać się mogła dla samej młodości swej, pełnej świeżości i wdzięku.

Niestety—posag był tak, nawet po najdłuższem życiu—wątpliwy, a Aureli tak wiele potrzebował dla siebie i stał na pierwszym planie....

Szczęściem, pani Porochowa. syn jej i córka, wszyscy mieli to szczęśliwe usposobienie, że, nałajawszy losom i ludziom, łatwo się rozweselali i życie brali lekko.

Wcale do eleganta płochego i wyperfumowanego ze Zdunowa nie był podobnym p. Leon z Baranówki. Mieli obaj niektóre gusta wspólne, ale w dorastającym dziedzicu p. Sędziny, już odgadywać było można daleko poważniejszego człowieka, nieufającego łatwo, przypatrującego się zblizka, nierzucającego się na nic gwałtownie nigdy. Pan Leon rzadko się unosił, a nigdy całej myśli nie wypowiedział. Powierzchowność jego męzka, dosyć przyzwoita, nie miała tego uroku, jakim się odznaczał p. Aureli, ale za to silniejszym był i na koniu, na polowaniu, we wszystkich ćwiczeniach ciała, przechodził go owiele.

Jak jeden, tak drugi do życia umysłowego, do nauki dla nauki—powołania w sobie nie czuł. Aureli był muzykalny, ale w najnieznośniejszy sposób, grał bowiem z pewną trywialną wprawą na fortepianie, popisywał się z tem rad, śpiewał fałszywie, smak muzykalny miał fałszywy i tam, gdzie się muzyką zajmowano poważnie, stawał się poprostu śmiesznym.

Leon, do czego się tylko wziął, opanowywał daleko lepiej i chętniej też pracował, silił się, nie żałując czasu. Zarozumiałym nie był, zatem w młodym już baczniejsze oko mogło przewidzieć pedanta i człowieka niełatwego w pożyciu. Młodzi sąsiedzi rzadko z sobą byli w zgodzie i różnili się w zapatrywaniach wielce.

Gdy Aureli już teraz ciągle był zajęty kobietami, romansami, przyszłym ożenkiem, świetną karyerą, — Leon instynktownie gromadził zapas na przyszłość. Chociaż matka nie dawała mu wiele wglądać w gospodarstwo i nie puszczała go z rąk, zajmował się niem, przypatrywał mu, i Baranówki przyszłość obchodziła go mocno. Z tem wszystkiem i on, jako młody, miał chwile roztrzepania, wesołości, ochoty do zabaw.

Obu wychowanie się kończyło, gdyż matki i oni zdecydowali, że uniwersytetów i wyższych nauk nie potrzebowali. Sędzinka tłómaczyła użyteczność tych instytucyi tem, że do urzędów, na professorów, do różnych „fachów“ musiano ludzi przyspasabiać—a dla wiejskich obywateli nie było potrzeba wielkiej mądrości, która z nich prędko wywietrzeć musiała w polu i na zagonie.

Na kilka dni przed powrotem Aurelego przybył p. Leon do Baranówki, rad, że więcej już nie potrzebuje się zaprzęgać w jarzmo karności szkolnej i troszczyć się o te nieznośne examina.

Matka nie mówiła mu nic, nie obiecywała, ale czuł i domyślał się, że mu zda jeden folwark i że tam będzie niezawisłym panem swej woli. Młodemu ta swoboda się uśmiechała najwięcej.

Zawczasu już powiadał sobie, iż przekona matkę o zdolności do gospodarstwa, o praktyczności swej, o wszystkich przymiotach, które sobie przyznawał. Spekulacye złotodajne nastręczała mu fantazya bujna.

Dzień, w którym Leonek miał powrócić, mniej więcej się dawał obrachować, a Rozalka sama i z matką od tygodnia już napróżno wychodziły na jego spotkanie.

Przechadzka ta wieczorna drogą leśną, cienistą, nie była uciążliwą: chętnie więc się wybierały do krzyża, który stał niedaleko granicy baranowieckiej. Sosny, brzozy, podszyte gęstą leszczyną, niektóre części boru, okryte czernicami i jagodami, polanki zielone—naprzemiany otaczające drogę, urozmaicały widok, który panna Rozalia lubiła bardzo.

Sędzinka miała do tego lasu urazę, że jej nic nie przynosił, oprócz czernic, które rankami obrywali maruderowie, i grzybów, niedających się też ani dopilnować, ani zmonopolizować; las, zaś zresztą przerąbany z lepszego, wyglądał ładnie, ale chyba na drwa tylko był zdatny.

Droga leśna nie była prostą i daleko widzieć

nie dawała, co się na niej działo, ale ucho czułe Rozalki pochwyciło turkot bryczki, a nawet starała się dowieśdź, że nie mogła być inna nad tę, którą posłano do miasteczka, aby tam na Leonka czekała. Matce uśmiechała się ta myśl, lecz niebardzo ufała przenikliwości córki, która się już nieraz w przepowiedniach omyliła. Tym jednak razem była szczęśliwą: na zawrocie spostrzegli konie, woźnicę z Baranówki i Leonka, który słomianym kapeluszem je witał, a zabierał się zeskoczyć, aby prędzej dobiedz do matki.

Krótkie są, ale jakże szczęśliwe te momenta, gdy się swoich, długo niewidzianych, odzyskuje! Sędzinka, nieskłonna do płaczu, miała na oczach łzy. Rozalka, zdyszana, mówić prawie nie mogła. Leon, choć daleko umiarkowańszy, czuł, że cała jego dojrzałość i męztwo tu, wobec matki, w kąt pójść musiały, a on powrócił do dziecięcego posłuszeństwa i miłości.

Kochał ją i szanował.

Całując syna i ściskając, Sędzinka nie mogła się powstrzymać, aby mu burki nie dała.

— Ale o trzy dni się opóźniłeś — poczęła — Jeżeli wrócić nie miałeś, nie trzeba się było obiecywać, a raz naznaczywszy termin...

— Zupełnie niespodziana okoliczność — przerwał Leon? — Zobaczy mama.

— No, cóż tak ważnego!

— Jeżeli nic ważnego, to przynajmniej nadzwyczaj ciekawego, nadzwyczaj osobliwego, cóś takiego, co nawet mamę zainteressuje.

Zaczęli iść pieszo powoli, ale już im wszystkim było pilno do Baranówki. Leon był podróżą zmęczony, i Rozalka wniosła, że mogliby siąść na bryczkę, zabrać się wszyscy i prędzej stanąć we dworze, gdzie ich herbata i suty, ale niewykwintny, czekał podwieczorek. Wniosek był praktyczny: Leon zasiadł przy woźnicy, Sędzina i Rozalka zajęły miejsce na tłumoku. Matka była przywykła do bryczki i do wozu, a około gospodarstwa nie wzdragała się od niczego.

Koniki, które Leon sam raźno popędzał, puściły się kłusem, i droga, na którą pieszo powoli niemal godzinę było potrzeba, w kwadrans przebytą została. W Baranówce, gdy zaturkotało, wybiegli wszyscy do panicza.

Podwieczorek znalazł się przygotowany, a apetyt do niego przywiózł Leonek tak potężny, iż Rozalka, której także na nim nie zbywało, musiała chlebem z masłem się ratować.

— Ale mówże! mów! co cię zatrzymało! — nalegała siostra.

— Jakieś trzpiotowstwo—przerwała matka — zwykłe u młodych! Wiatr, co wieje w polu...

Leon się rozśmiał.

— Niech-no mama posłucha.

— Nie potrzebuję się z tego spowiadać. bo mama mnie zna — ciągnął dalej Leon wesoło, za pozwoleniem Sędzinki zapalając cygaro. — Do zbyt eleganckich salonów arystokratycznych, do których się dobijać potrzeba, ja nie wzdycham. Zostawiam to Aurelemu.

— Ale ty do nich masz większe prawo od niego — przerwała dumnie Sędzinka. — A! tak!

— Może to być — rozśmiał się Leon — a gdyby mama zobaczyła w regestrzykach, ile to białe świeże rękawiczki do tych salonów niezbędne kosztują. Moja kassa niezawsze na to starczy, a długów ani ja nie lubię, ani mama.

— No, ale mówże, nie bałamuć — wtrąciła siostra.

— Tej zimy — mówił dalej Leon — pomiędzy młodzieżą złotą, do której Aureli się też liczy, nie było mowy o niczem. tylko o nadzwyczajnej piękności, uroku, wdzięku—panienki, wychowanicy barona Rauna.

Oprócz wszystkich cudów, jakie głoszono o niej, bo cudowne być miało, co tylko się jej tyczyło, opowiadano historyą jakąś z tysiąca nocy o tej zaklętej królewnie, że w młodości była opuszczoną, prześladowaną. że musiała uciekać z jakiegoś domu, w którym jej dano przytułek, dla srogiego obchodzenia się, że potem baron Raun ją przypadkiem gdzieś spotkał, wziął, zaopiekował się,

wychował,—aż wyrosła na tę cudowną idealną istotę...

Dodać potrzeba, że baron stary, chory, bezdzietny, niemający bliższych krewnych, całą swą milionową fortunę zapisał tej sierocie. Piękna, wychowana świetnie, przybrana córka barona, z posagiem milionowym, można sobie wyobrazić, jak młodzież całą pociągała ku sobie.

Aureli się pierwszy zaczął nią łudzić—unosząc się, prawiąc najdziwniejsze rzeczy, namawiając, abym się starał widzieć ją i poznać. Mama mnie zna, że ja tam, gdzie wielka konkurrencya, nie rad się wciskam. Powiedziałem sobie, że jest ich tam tylu, iż dla mnie miejsca nie starczy.

Tymczasem w ciągu wiosny wieczór daje pani Słociska, przyjaciółka mamy.

— Od dzieciństwa — potwierdziła Sędzinka — jakże tam jej jest?

— A! dobrze — odparł Leon — córką jednę wydała, dwie są na progu już i pewnie znajdą „odbiorców" — rzekł Leon, śmiejąc się z własnego wyrażenia.

— Mówże dalej o tej baronównie — zaciekawiona podszepnęła Rozalka.

— Zaproszony, przychodzę do Słociskiej i jednego z pierwszych spotykam Aurelego, który już mnie uprzedził i ofiarował się w tańcach przewodzić.

— No, masz szczęście—przywitał mnie w progu—zobaczysz nareszcie gwiazdę, baronównę, bo ona tu dziś będzie!

Ruszyłem ramionami obojętnie. Słociska nieczęsto zaprasza, ale gdy się zmoże na wieczór, trzeba jej to przyznać, iż niczego nie braknie. Towarzystwo i przyjęcie było świetne, tylko trochę zaciasno może, na tak wiele osób.

Ja żadnych nowych znajomości nie mam szukać zwyczaju, ale wśród wielkiej mnogości wcale pięknych panien, o co w Warszawie nie trudno, uderzyła mnie jedna. Nie wiem, jak mam opisać, bo ja do tego talentu nie mam. Dosyć słusznego wzrostu, wysmukła, bardzo zręczna, ubrana z wielkim smakiem, otoczona ciągle młodzieżą, uśmiechała się i spoglądała z wielką swobodą—panienka uderzająca pięknością, ale w czem ta jej nadzwyczajna piękność była, trudno oznaczyć. Pojedynczo biorąc, ani oczy, ani usta, ani twarzyczka, ani żaden wdzięk w niej nie uderzał, całość wszakże zachwycała.

Ja nie łatwo się czem tak daję zająć, ale, zobaczywszą ją, stałem wpatrzony, zagapiony, i anim się postrzegł, że ludzie to widzieli, a—śmieli się.

Aureli przypadł do mnie.

— No, a co?

— Cóż takiego?

— Nie piękna?

— Kto? — zapytałem.— On wskazał mi tę dziwną właśnie spostrzeżoną panienkę.

— Baronówna, o której ci mówiłem.— Nie taiłem, że mi się wydała bardzo piękną.

— No, piękna! — odparł Aureli z zapałem — ale to jest nic jeszcze. Oprócz piękności, pójdźno ją zagadnij, zobaczysz, co to za rozum, dowcip, takt, a przy tem taka miła, tak nic nie dumna!

Przesadzone te pochwały zaczęły mnie niecierpliwić, bo znam Aurelego, że gdy raz weźmie się do uwielbień, czy do czernidła, nie ma temu końca. Chciałem już odejść, gdy przystąpiła do nas Słociska i zwróciła się ku mnie.

— Znasz pan baronównę? — spytała.

— Nie.

— Chcesz, ażebym cię zaprezentowała?

Zawahałem się, nie miałem wielkiej ochoty, alem nie wiedział sam, czy mi wypada odmówić. Słociska tymczasem, jak ona jest poufała i żywa, biorąc moje milczenie za przyzwolenie, pociągnęła mnie do grupy osób otaczających piękną pannę, i niewiele myśląc— zaprezentowała.

Podniósłszy oczy, zobaczyłem ją zarumienioną i zmieszaną. Trwało to bardzo krótką chwilkę, i natychmiast usłyszałem głosek łagodny, pytający mnie, czym oddawna był w Warszawie?—odpowiedziałem, że tu bawię już z małemi przerwa-

mi od lat kilku, ale teraz mam właśnie zamiar powrócić do domu.

Wtem, jakby się jej to mimowolnie wyrwało, słyszę te wyrazy:

— Do Baranówki!

Co u licha! Zkądże ona wiedzieć może, iż my mieszkamy w Baranówce. Nie śmiałem spytać o to. Obojętniej potem zadała mi pytań kilka, tyczących się tańca, wieczoru, a w ciągu rozmowy tak dziwnie mi się przypatrywała, tak się uśmiechała, takiego coś zdawała się w sobie ukrywać, że gdy się kadryl począł, a ją wzięto, pozostałem gdyby pijany.

Nie mogłem ani zapomnieć, ani sobie wytłómaczyć... Do Baranówki! Kto jej mógł mówić o Baranówce, i co ona ją obchodzić może?

W ciągu rozmów o niej podsłuchanych mimowolnie, uderzyło mnie jej imię Justyna.

Sędzinka przerwała krzykiem i plasnęła w ręce.

— Nie może być!

Leon się rozśmiał. Nie wiem, może czy nie może to być; ale, że imię ma Justyna, że historya jej zgadza się słowo w słowo z historyą siostrzenicy starego gumiennego, która ztąd od nas uciekła—niema wątpliwości.

Jakiś czas pani Sędzina siedziała osłupiała, zdumiona, zasępiona.

— Imię przypadkowo podobne — rzekła — ale żeby to ona być mogła, nie sposób, niepodobieństwo! Przypomnijcież sobie tego szurgota—twarz, wzrost, cerę. Jakimże cudem ta poczwarka mogła się zmienić w ten ideał? Poprostu: niemożliwe.

— Ale ja nie wiem nic — dodał pan Leon — bom nie śmiał jej badać, nie miałem sposobności mówić z nią dłużej, parę słów zaledwie raczyła przemówić do mnie, bardzo łaskawie, obojętnych.

Cóż mama na to?

Milczenie było odpowiedzią w początku. Sędzinka westchnęła tylko parę razy, podparła się na ręku i zadumała.

— A Aureli?

- - Aureli imienia jej nie pamiętał wcale i nie domyśla się niczego — rzekł Leon.

— A ty się domyślasz? — zapytała matka.

— Mnie się zdaje, że to nasza Justysia — odparł Leon.

— Nigdy w świecie — sprzeciwiła się Sędzinka.— Co znaczy imię? masz więcej jakie poszlaki?

— Żadnych innych, ale zkądże jej ta Baranówka?

— Przysłyszało ci się! — zawołała Sędzinka.

— Ale mówże o niej — przerwała Rozalka — Podobała ci się ta idealna panna Justyna?

Leon dziwny jakoś wyraz nadał swej twarzy.

— Komuby się ona nie podobała! — rzekł pocichu.—Najpierw wistocie bardzo piękna, potem w oczach ma coś takiego mówiącego, pociągającego, a zboku słuchając, gdy rozmawiała z innymi, taki urok słowa, taka swoboda, taka prostota.

Przy tem wszystkiem ma jeszcze,—na to się wszyscy zgadzają,—coś tak arystokratycznego, pańskiego w sobie, szlachetnego...

Sędzinka się na głos rozśmiała, ruszając ramionami.

— No, widzisz, proszę ja cię — rzekła — i to ten szurgot, głupia ta Justysia, czytać nie umiejąca, miałaby w lat kilka tak się naglej wyuczyć, wykształcić, wypięknieć! Gdzież kto słyszał co podobnego! Justyną może być, ale pewno nie gumiennego naszego siostrzenicą.

Leon głową potrząsał i, rękę wsunąwszy do kieszeni, zdawał się z niej coś chcieć dobyc.

— Chociaż fotografii jej dostać trudno, a są przepłacane, kradzione, bo tylko pomocnik fotografa potajemnie niemi handluje, postarałem się o jednę, nieosobliwą, daje wszakże jakietakie pojęcie o fiziognomii...

Sędzinka i Rozalka pochyliły się z ciekawością niezmierną ponad pugilares, z którego Leon powoli dobył dosyć sporego formatu wizerunek młodziuchnej panienki, ze zwitkiem papierów stojącej nad stolikiem zarzuconym książkami i kwiatkami. Sędzina wyrwała fotografią z rąk syna, niecierpliwa, i wlepiła w nią oczy, usiłując wspomnienie odrapanej brudnej dziewczyniny porównać z tą śliczną, promieniejącą dziewicą.

W rysach starej jemości malowało się zdumienie, przestrach, niepewność. Położyła fotografią, wzięła ją powtórnie, poruszyła głową, ale syn i córka napróżno czekali, aby powiedziała, co myśli. Milczenie zaś jej mówiło tak wiele, iż Leon wstrzymał się od dalszych wywodów podejrzeń swoich.

Pierwsze wyrazy, które się potem wyrwały z ust Sędziny były:

— Ale Aureli o bożym świecie nie wie?

— O czem? — zapytał Leon.

— A no, o historyi Justki, o jej ucieczce. Matka mu pewnie o tem nie mówiła i gdyby nawet słyszał, coby go to miało obchodzić!

— Jednakże — przerwał Leon — uderzyło mnie to, że Aureli kilka razy z wielkiem zdumieniem powtarzał, iż panna zdaje się znać okolicę Zdunowa i osoby tam mieszkające tak jakby tu

niegdyś bywała. Gdy Aureli, dziwiąc się temu, chciał ją badać, wyśmiała go za ciekawość.

— Niema najmniejszej wątpliwości, że to ona jest — zawołała Sędzina, biorąc znowu do rąk fotografią. — Wyrosła, wypiękniała, sformowała się, ale rysy zostały teżsame. Przypominam ją sobie doskonale! Ona to jest! ona!

Zżymnęła się Sędzina i czoło się jej pofałdowało.

— Ale ktoby to był mógł przewidywać! — dodała smutnie. — Prawdę rzekłszy, ona swoje szczęście mnie winna: gdybym jej nie dokuczyła gderaniem, nie byłaby uciekła i ten los osobliwyby jej nie spotkał.

Głos zniżyła Sędzina i dorzuciła kwaśno:

— Jeżeli Porohowa się dowie, domyśli, to potrafi i zechce korzystać i gotowa podstawić Aurelego! O, to-by mnie w grób wpędziło!

— Ale, mamo kochana--odezwał się żałośliwie Leon — czy to się godzi takie rzeczy brać do serca! A co nas to obchodzi!

— Będą nam pod nosem tryumfy wyprawiali!— mówiła ożywiona Sędzina—Tego-bym nie zniosła. Teraz trudno jest co przewidzieć, ale mogą rzeczy wziąć obrót taki...

Sędzinka nie dokończyła, pogrążyła się w myślach i brata z siostrą pozostawiwszy na szep-

tach, sama się poczęła przechadzać po pokojach.

Tryumf sąsiadki, której dobry uczynek mógł się wynagrodzić świetnem ożenieniem syna, jak kamień jej leżał na sercu. Mówiła sobie, że gotowa była wiele poświęcić, aby go niedopuścić! Zamknęła jednak w sobie smutne myśli i domysły.

Następnych dni strapione przeczucia jakieś tak ją zmogły, iż postanowiła pojechać w odwiedziny do Zdunowa, aby wybadać: czy Aureli tam jakiej wiadomości nie przywiózł, któraby na myśl o Justysi sąsiadkę mogła naprowadzić.

Nadzwyczaj rzadko bywała Sędzina w Zdunowie i często Porohowa dwie i trzy wizyty jej oddała, nim jedną mogła się poszczycić. Leon był na polowaniu, jechała więc sama z Rozalką.

Porohowa, jak zawsze, przyjęła ją z niezmiernemi demonstracyami czułości i wdzięczności, posadziła na pierwszem miejscu na kanapie, okazywała przejęcie tem dobrodziejstwem.

Aureli wszedł wkrótce do salonu, a Sędzinka miała sposobność porównać własnego syna do niego i trochę jej było kwaśno przyznać, że młody Poroch wyglądał pokaźniej, więcej panczykowato i pańsko. Pocieszała się tem, że Leonek za to

miał przymioty, na których pewnie elegantowi zbywało.

Aureli chwalił się stosunkami i wiele mówił o Warszawie. Wyliczał mnóztwo pięknych panien, a między innemi i panny barowny Justyny nie zapomniał, dodając, że wiele się nią zajmowano, gdyż tajemniczą jakąś historyą o niej opowiadano na ucho.

Sędzina słuchała z natężoną uwagą, ale nic nie dozwalało przypuszczać, ażeby Aureli się czegoś domyślał, a tem mniej jego matka.

Sędzinka rozpytywała go o syna, a towarzysz, z wielkiemi pochwałami o nim mówiąc, wyznawał, że w wielu rzeczach zazdrościł mu, ale nie spodziewał się doścignąć.

Od Porochowej dowiedziała się tylko, że syn jej powracał do Warszawy. Co się tycze Leona, matka-by go była chętnie zatrzymała na wsi i puściła mu folwark, jako sobie życzył; ale rozdzielać gospodarstwo, wyrzekać się ogólnego kierownictwa interessami, było jej trudno i smutno. Sama przed sobą tłómaczyła się, że potrzeba mu było ułatwić poznanie świata, dać trochę swobody i t. d.

— Ja też — odezwała się do sąsiadki — nie wiem, co z Leosiem pocznę. Jemu się chce na wsi pozostać, a ja-bym pragnęła, aby tak trochę wyszumiał.

O pannie baronównie mowy już nie było i Sędzinka się uspokoiła tem, że Porochowa nie domyślała się wcale Justki, a zatem i korzystać nie mogła z wyświadczonego dobrodziejstwa.

Aureli późną jesienią powracał do Warszawy, i niewiadomo, jak zrodził się projekt, iż matka go tam z siostrą odprowadzić miały. Porochowej, jak wszystkim matkom, zdawało się, że byle córkę z kąta wyrwała i pokazała światu, zaraz się ktoś musi znaleźć, co ją oceni i... pochwyci. *Hoc erat in votis.*

Miała więc pod opiekę Słociskiej wybrać się do Warszawy; o Justysi wistocie ani marzyła, ani przypuszczała, aby dziewczę, niepokaźne, zahukane, miały jakieś nadzwyczajne spotkać losy.

Proces, jakim się każda istota wyrabia, kształtuje i przybiera sobie właściwe cechy indywidualne, tak jest skomplikowanym, że ktoby go chciał wyjaśniać umiejętnie, wskazując jak się tam składały atomy na pierwiastki, a pierwiastki na rozliczne kombinacye, musiałby badaniu jednego życia własne całe poświęcić.

Szczególniej ta doba, gdy istota dobiega do najwyższego rozwinienia swej potęgi, jest jakby dramatem sił i prądów z niezmierną szybkością walczących z sobą i wydających coraz nowe kombinacye.

Teorya ta, chociaż zdaje się wystarczać do zrozumienia fenomenów, zaledwie grube ich zarysy tylko oznaczyć może. Twórcza siła młodości przerabia ciało, zahartowuje narzędzia życia, rozwija umysł i nadaje kierunek prawie wszystkim władzom; ale są tajemnice w tem niezbędne, bo każde indywiduum jest nową oryginalną kreacyą, może podobną do innych, nigdy im całkowicie równą.

Nieskończona jest rozmaitość jednostek ludzkich.

Ktoby się mógł spodziewać po zaniedbanej dziewczyninie, z sercem ściśniętem, z głową zamkniętą, że się z niej szybko cudownie wcale ciekawa istota wyrobi pod prądem trochę pomyślniejszych warunków? Miała tylko jako oręż jednę siłę woli dość energiczną, która może z poczucia organizmu, zahartowanego ostrem życiem, wypływała.

U Franaszków już, nanowo uciskana w inny sposób, myślała właśnie, jak się od nich wydobędzie, gdy trafiło się, cośmy opowiedzieli w Saskim Ogrodzie.

Wistocie wypadek to był cudowny, a przynajmniej tak rzadki, iż seciny lat na podobny trafunek czekać potrzeba.

Aby go sobie lepiej wytłómaczyć, trzeba było bliżej znać tego biednego barona Rauna.

Dobry, łagodny, ufający ludziom, nieumiejący nigdy w złość ich uwierzyć, przebaczający nawet tym, co go postokroć zdradzali, baron padł ofiarą swych cnót i przymiotów. czyniących go niedołężnym. Odzierano go z majątku, rodzina obchodziła się z nim nielitościwie, wreszcie sam los, który czasem jest szatańsko złośliwy, naprzód mu wydarł wiarę w tych, których on kochał, potem wszystkich tych, do których czuł przywiązanie,

a gdy mu jedna jedyna tylko pozostała wnuczka, i tę na ostatku choroba w mgnieniu oka porwała.

Z drugiej strony właśnie w tej porze gdy już był prawie całkowicie zruinowanym, dwa ogromne spadki uczyniły go milionerem—wówczas gdy już nie miał się z kim dzielić.

Raun szukał kogoś do ukochania, do poświęcenia się dla niego; lecz zdradzony tylekroć, był ostrożnym. Jedna stara sługa, niegdyś dzieci jego piastunka, Marta, pielęgnowała go i bolała nad nim, bo kochała staruszka.

Sypał teraz jałmużnę i wychowywał sieroty, posyłał różnym instytucyom bezimienne datki, a życie mu szło tak niesłychanie ciężko, tak opieszale i długo!

Zbieg okoliczności w ciągu dosyć długiego żywota był taki, że nawet on, pełen dobroci, skłonny do zaufania, stał się bojaźliwym i nieufnym, a Marta truchlała, ile razy się kto w jego łaski wciskał.

Było w naturze tego człowieka, że gdy spotykał nowych ludzi, szukał w nich tylko stron dobrych, wyobrażał ich sobie zacnymi i poczciwymi, spowiadał się zaraz i wylewał przed nimi, dawał im zajrzeć w najgłębsze serca tajniki, sam broń przeciw sobie wtykał im w ręce.

I każdy niemal stosunek z baronem kończył się

dla niego tem, że go niepoczciwie, nielitościwie wyzyskano.

Teraz już jednak lękał się, zamykał usta, wstrzymywał się i nie oddawał odrazu, ale to go czyniło nieszczęśliwym.

Tak zbiedzonego, stęsknionego człowieka proszę sobie wyobrazić w położeniu tem, gdy mu los nastręczył sierotkę z twarzy niezmiernie wnuczkę przypominającą. Zabobonny wskutek cierpienia, powiedział sobie, że to Bóg się nad nim zlitował.

Nawykły przez całe życie do obracania się w towarzystwie i między ludźmi ogładzonymi wychowaniem, niewidując innych dzieci nawet, jak salonowe laleczki, pomimo nagłego rozkochania się w swej sierocie, był nieprzyjemnie jakoś uderzony szorstką nieugłaskaną naturą Justysi.

Zaczynał się już lękać, ale dziecię miało dar ten, że się dobrocią i łagodnością dawało pokierować chętnie, a panna Jolanta miała doświadczenie i miłość dla dzieci.

Pierwsze więc objawy metamorfozy dzikiego stworzonka następowały po sobie dosyć szybko. Justka, rozmarzona, znajdowała się jakby w raju. Wieczorem po pacierzu przychodziła do starej Marty, która się do niej przywiązała prędko, i ze łzami w oczach pytała jej:

— Matusiu moja dobra? powiedz ty mnie? czyż

to wszystko prawda, co się tu ze mną dzieje? Czy wy mnie potem nie wypędzicie na ulicę, jak się wam z Justką nudzić zacznie?

Dziadzio (baron się tak kazał nazywać) uśmiecha się do mnie, głaszcze, całuje; ale ja, idąc na zawołanie drżę i myślę tylko: Nuż on krzyknie nagle:—„A precz mi ztąd, włóczęgo!“

Marta ją uspakajała, a skuteczniejszemi nad jej zapewnienia były nauki panny Jolanty, która chciwy umysł dziecka karmiła, ciesząc się, że tu ani jedno jej słowo nie szło marnie. Uczyła się Justka w sposób niepojęty łatwo, prędko i jakby odgadując wiedzę, gdy raz już pokazano do niej drogę.

Lekcyi nigdy jej nie było zanadto, tak, że nauczycielka musiała ograniczać je, obawiając się, aby młodego umysłu nie przeciążyć.

Na zupełnie nową i nieznaną istotę oczy wszystkich były zwrócone z niesłychaną ciekawością, chcąc zajrzeć do głębi tej duszy w pączku. Marta, Baron, panna Jolanta, obawiali się wszyscy, aby z przeszłości się tam coś nie zakradło, jaka kropla trucizny, jakaś skłonność niebezpieczna, jakiś popęd zagrażający przyszłości. Badano ją, patrzano na nią zdala, tłómaczono czynności, lecz—oprócz pewnej obawy i nieufności względem ludzi, nie znaleziono nic.

Panna Jolanta też zauważyła, że dziecko, zawsze się lękając, aby go nie porzucono i nie po-

zbyto się, chwytało łakomie wykształcenie, jak zapas na przyszłość.

Baron, do którego się przywiązała łatwo, pomimo nadzwyczajnej swej dobroci, budził w niej jakąś obawę.

Codzień przychodząc do niego na dzień dobry, spoglągała z trwogą przez drzwi uchylone, wsuwała się drżąca, jakby obawiała się nagłej jakiejś odmiany.

Dziadek chciałby ją był mieć czulszą, więcej wylaną, okazującą serce, roztkliwiającą się łatwo: Justka tego nie umiała i na to się nie siliła. Z zahukania w dzieciństwie pozostała jej nieufność jakaś i obawa.

Ale serce, że miała dobre, o tem się przekonywano, bo niemal co dzień ubogie dzieci obdarzała, od ust sobie odejmując.

Umysł żywiej może w niej się wykształcał, niż serce. Była tak długo spragnioną elementarza, że teraz post, na jaki ją skazywano, wyrobił władzę przyswajania sobie nadzwyczajną. Panna Jolanta, zapytywana przez barona na stronie, wydziwić się nie mogła.

— Jeżeli się to nie zwichnie, nie nabierze zarozumiałości. nie zarazi czem, będzie z niej kobieta wcale niepospolicie obdarzona, lecz męzkiego też ma wiele w sobie.

Męzka była w niej energia szczególniej, bo

upodobania miała płci swej właściwe: lubiła kwiaty, zachwycała się poezyjkami, miała talent do muzyki, wiele smaku w ubraniu, ale zalotności najmniejszej.

W pierwszym roku nawet panna Jolanta zawyrokowała:

— Piękną nie będzie, ale gdy dorośnie, rozwinie się,—przy jej zdolnościach.

W drugim roku już dobry byt, swoboda, z tej poczwarki, po której panna Jolanta nic się nie spodziewała, zaczęły wyrabiać fiziognomią obiecującą piękność niepospolitą. Rysy, niepewne zrazu, zdawały się wyraziściej zakreślać; usta, oczy, owal twarzy zlały się w harmonijną całość, wejrzenie pałało intelligencyą.

Obejście się straciło wiele pierwotnej szorstkości, ruchy stały się wdzięczniejszemi, ale zawsze w chwilach, gdy silniej czuła się poruszoną, było w niej coś dzikiego, samowolnego, gwałtownego.

Dla Barona wszystkie jej przymioty i wady, wszystkie objawy serca i umysłu były—zachwycającemi. Nie mógł się nią dosyć nacieszyć, podsłuchiwał lekcyi, zatrzymywał ją na rozmowy, kazał sobie czytać, kazał opowiadać, a gdy kto ze znajomych przychodził go odwiedzić, o niczem mowy nie było tylko o wnuczce. Panna Jolanta pozostała przy niej i nadal, jako kierująca wychowaniem i lepszego wyboru nie mógł baron

uczynić, ale, że dla niej dawanie lekcyi rozlicznych stawało się uciążliwem, sprowadzano professorów, nauczycieli, i baron wcale na to nie żałował.

Wychowanie chciał mieć tem świetniejszem, że tak długo była zaniedbaną.

Szczególnego talentu nie okazywała Justka do niczego, ani upodobania wyłącznego, obchodziło ją wszystko, chciała być wtajemniczoną gdzie tylko dopuszczono. Rzecz osobliwa! pieszczona i noszona teraz na rękach, ukochana przez barona, uwielbiana przez Martę, a nawet uznana przez trudną ze wszech miar pannę Jolantę, Justka zachowała w charakterze jakąś niewiarę w ludzi, powątpiewanie o ich szczerości, i ironiczna nuta dziwaczna brzmiała czasem na jej ustach niespodzianie.

Łatwowierność i optymizm dziadunia zdumiewały ją, przywiązywały do niego, lecz do naśladowania nie pobudzały. Lękała się zawsze jakiegoś dyssonansu w życiu.

Niezmiernie szybkie rozwijanie się istoty, której pierwsze kroki hamowano, nie dozwalało teraz nawet ocenić zmian, jakie w niej zachodziły. Dojrzewała zbyt pośpiesznie. Panna Jolanta usiłowała napróżno ją powstrzymać.

Z czytaniem szczególniej były niezmierne tru-

dności, gdyż nie można było wytłómaczyć jej, że książki pewne na później być musiały odłożone.

— Nie zrozumiesz tego — mówiła jej Jolanta.

— Jeżeli nie zrozumiem odrazu, będę się silić, pracować, lecz w końcu, jak to może być, abym ja ludzkiego słowa nie pojęła!

— Stopniami! — powtarzała nauczycielka.

— A po tych stopniach tak muszę iść powoli! —tęsknie żaliła się Justka.

Baron miał w początkach wiele trudności w dobraniu jej stosownego towarzystwa rówieśnic, o które panna Jolanta postarała się, mając stosunki z wielu domami, gdzie niegdyś nauczała.

Wiedziano o tem, że to była sierota wzięta z ulicy, niepewnego jakiegoś pochodzenia: zrażało to, zniechęcało. Matki dla córek lękały się tego dziecka, które mogło być zepsute, ale baron tak umiał wydawanemi wieczorkami, z niezmiernym zbytkiem i okazałością, pociągnąć i obudzić ciekawość, że z początku kilka pań, potem wszystkie się dały nawrócić.

Justka się podobała.

W ciągu drugiego roku stary opiekun narażonym był na niespodziankę, dosyć w początku nieprzyjemną i groźną.

Gumienny Rabicki, który potrafił wyśledzić, co się stało z jego jedyną siostrzeniczką, zabiegał tak i pracował, że wostatku udało mu się przy

furach wyprawianych do Warszawy wybrać, aby Justkę odszukać i zobaczyć. O losie jej nie wiedział wcale; ekonomowa Julisia dała mu tylko wskazówkę, aby o nią Franaszków na Bednarskiej pytał.

Dla starca podróż ta była niesłychanie ciężką; lecz powiedział sobie, że choćby miał z niej do domu nie powrócić, raz jeszcze w życiu Justkę widzieć musi.

Dojechawszy naostatek z furami na Pragę, gdzie miały nocować, Rabicki był tak znużony, że padłszy pod wozem na ziemię, aby spocząć, spał bez przerwy kilkanaście godzin, i ledwie się go dobudzono.

Tego dnia nawet do Franaszków się dostać nie mógł, a gdy go ekonom uwolnił i wypuścił,—stary stracił kilka godzin na szukaniu ulicy, domu i ludzi.

Znalazł Franaszkową samą, a kwaśną. Niepozornie wyglądającego, przyjęła niechętnie. Na zapytanie: co się stało z Justką? — dopiero się nieco ożywiła.

— A to wacan nic nie wiesz?

— Albo u pani jej nie ma?

— Gdzie! kiedy!!

— A cóż się z tem biedactwem stało?

— Piękne mi biedactwo! — odparła Franaszkowa. — Wygrała jakby wielki los na loteryi.

Jakiś stary niespełna rozumu, baron czy jak go tam tytułują, wziął ją na wychowanie. Ani teraz poznać! chodzi w atłasach!

Rabicki osłupiał.

— Nie godzi się żartować tak! — odparł smutnie.

— Tak mi Boże dopomóż! — krzyknęła Franaszkowa — co acan sobie myślisz? Prawda święta! Idź na Krakowskie, mój mąż ma adres, sam się przekonasz.

Rabicki nie wierzył jeszcze i stał bez mowy. Franaszkowa się śmiać zaczęła. Dopiero po zaręczeniach i przysięgach, gdy mu Franaszek dał adres, ze strachem powlókł się na Krakowskie.

Stary gumienny, chociaż do Warszawy zabrał z sobą najlepsze, na wszelki przypadek, odzienie, owa odświętna kapota nie wyglądała wcale zalecająco.

Sam on, rozglądając się po ulicach, nabierał przekonania, że biednie się prezentował. Jego długie buty kozłowe, pas, czapka z daszkiem, nawet bielizna i chustka, równały go z tymi, co tu najlichsze posługi spełniali. Lecz Rabickiemu nie chodziło o to, jak się okaże, tylko, żeby mógł swoję Justkę zobaczyć.

Kto wie, czy paradna służba barona, dobre ludziska, ale z fumami okrutnemi w głowach, byliby go dopuścili, gdyby los, litując się nad bie-

dakiem. właśnie w chwili, gdy on nadchodził, nie sprowadził Justki, z panną Jolantą powracającej ze spaceru.

Urosłej, zmienionej, ustrojonej, szykownej, nie poznałby był może Rabicki, ale dziewczę, zobaczywszy go, rzuciło się z uniesieniem ku niemu i przestraszyło pannę Jolantę gwałtownym wybuchem radości, która w płacz przeszła.

Ta czułość poczciwego serca dziewczyny w początkach zakłopotała długiem obcowaniem z arystokracyą wydelikaconą starą guwernantkę, ale potem wzbudziła w niej szacunek dla dzieweczki. Nietylko, że się nie zawstydziła prostaka tego, ale, ująwszy go za rękę, śmiało zaraz poprowadziła do barona. Rabicki napróżno się wymawiał.

Stary baron mocno się zmieszał. Niebardzo miłe mu były te odwiedziny, jawne przypomnienie pochodzenia Justki, i następstwa, jakie znalezienie się wuja pociągnąć za sobą mogło, lecz raz trzeba było ten stosunek uregulować, zaspokoić starego i zapewnić się na przyszłość.

Grzecznie powitał Rabickiego, który mu do nóg był przypadł, rozpytywał o pochodzenie, badał zaraz, czyby sobie nie życzył spokojnego kąta u niego na wsi i t. d.

Rabicki podniósł ręce do góry.

— Ale ja, jaśnie panie, nic a nic nie żądam,

o nic nie proszę! Boże uchowaj, przywlokłem się dziękować tylko. Tam, gdziem życie moje całe prawie spędził, dokończę też. Nic nie potrzebuję, nic, jaśnie panie.

A gdy to mówił, łzy mu się toczyły.

Z papierów Rabickiego okazało się, że dziewczę z matki i ojca należało do szlachty, z czego Baron był uradowany. Polecił przyjąć jaknajlepiej i ugościć gumiennego, rozgadał si z nim i zdał go w ręce Justki, która zabrała wuja do swego pokoju.

Tu opowiedziała mu obszernie o sobie, o swych przygodach, o tem, jak jej tu było teraz, jak się uczyła, jaki baron dobry był dla niej i t. d. Rabicki słuchał, piąte przez dziesiąte rozumiejąc, płacząc i łzy ciągle ocierając, ręce ku niebu podnosząc, a czasem Justkę po główce głaszcząc, bo ledwie śmiał ją pocałować.

Oboje się zgadzali na to z Rabickim, że Sędzinka i wogóle nikt obcy o jej losie nie powinien wiedzieć, bo baron sobie nie życzył rozgłaszania tej historyi, i łudził się tem, że obca dziewczynka zupełnie się w rodzoną jego wnuczkę zamieni, a dawne lata zatrą się i zapomną.

Rabicki, oile toby było możliwem, obiecywał co rok potajemnie odwiedzać Justkę, lecz gdy raz o nią był spokojnym, zaraz roku następującego—chybił. Podróż dla niego była niezmiernie

utrudzającą. Justka na ręce proboszcza, któremu się zwierzył gumienny, pisywać czasem obiecała do niego.

Przez dni dwa Rabicki nasycał się widokiem siostrzenicy, a sowicie przez nią obdarzony, gdyż baron w ten sposób chciał mu przyjść w pomoc nie obrażając, bardzo sobie Warszawę upodobał, i opuścił ją, Bogu dziękując za łaskę Jego. Zwierzył się przed Justką, że koronka do Opatrzności Boskiej, którą matka jej codzień odmawiać była zwykła, sprawiła ten cud niezawodnie.

Te odwiedziny gumiennego były jedynym wypadkiem, który przerwał monotonią życia Justki, urozmaiconego w szczegółach, ale podług jednego planu stałego rozwijającego się i zajętego—wykształceniem, którego ona była tak chciwą.

Wszyscy zgodnie przyznawali to jej, że korzystała nadzwyczajnie z nauki, z widzenia świata, z każdej najmniejszej w życiu wskazówki.

Baron wolałby był może dłużej ją widzieć dziecinną, niedojrzałą, naiwną—lecz cieszył się taką, jaką ją temperament czynił. W rozmowie z nią nieraz do przerażenia prawie zdumiony był wczesnym jej rozumem i taktem.

Mówiono powszechnie, chociaż były to tylko pogłoski, że, nie zwlekając, Raun cały swój majątek, z wyjątkiem legatów nieznacznych, przekazał sierocie. Tymczasem, im bardziej dorastała,

tem na wytworniejszej stopie ją i dom dla niej utrzymywał.

Jako dama do towarzystwa i razem dopełniająca wychowanie była panna Jolanta, która się przeniosła na mieszkanie do domu barona. Starsza garderobiana, dwoje dziewcząt służebnych, stary kamerdyner, przywiązani byli do osoby i usług panny Justyny, która miała też własny powóz i konie i niemi rozporządzała.

Nie potrzebujemy mówić nawet, że wszystkiego, co do wykształcenia dopomagać mogło, nietylko obficie ale wymyślnie dostarczał baron. Taksamo starał się o rozrywki, o wpojenie w nią dobrego smaku i poczucia piękna.

Dziewczę miało fantazye, przyjmowało wszystko, lecz czyniło wybór pewien i jedne rzeczy przyswajało sobie chętnie, inne odkładało z obojętnie na stronę—przełamać nie dawało się łatwo.

Tak, naprzykład, baron nalegał na nawyknienie do wytworności i elegancyi zbytkownej. Justka się ubierała z wielkim smakiem, ale z większą jeszcze prostotą. Jaskrawa i błyszcząca elegancya była jej zawsze i pozostała wstrętną.

Równie baron jak panna Jolanta, pomimo, że Justka im najczulsze okazywała przywiązanie, skarżyli się, jakgdyby ona do nich zupełnego zaufania nie miała. Wydawała się im trochę chłodną, zamkniętą w sobie, gdy z Martą była na stopniu

serdecznej poufałości największym. Wistocie Justka z niemi miała się na baczności, nie całkiem była sobą, okazywała obawę jakąś i powściągała się, ale niemniej szczerą była i nigdy nie udawała tego, czego w sercu nie miała.

Stary baron, który trochę był odżył szczęściem tem domowem, starzał się jednak szybko i coraz był słabszy. Niepokoił go los Justki; usiłował zawiązać stosunki, wprowadzić ją w świat, aby naocznie się przekonać: jak ją przyjmie towarzystwo, wśród którego prawdopodobnie żyć miała.

Nie dobijał się dla niej nadzwyczaj świetnego stanowiska, życzył sobie jednakże człowieka dobrego rodu, pewnych tradycyi rodowych, i zajmującego w społeczeństwie pewny już uprawniony stopień.

Za Justką mówiła najpierw nadzieja ogromnego majątku barona, potem osobiste jej przymioty: młodość, piękność—ale, pomimo to wszystko, rodziny stare, ludzie ostrożni, niebardzo śpieszyli w szranki przyszłych konkurrentów.

Bądź co bądź, pochodzenie, nawet ludziom od wszelkich przesądów wolnym, obojętne nie jest.

Tu jeszcze zachodziła okoliczność, złośliwości ludzkiej zawdzięczająca początek — podejrzenie puszczone w obieg przez jakiś języczek żmii, że Justka bliżej stała p. barona, niż przyznawano, i że to było dziecię jakichś pokątnych miłostek

jego starości. Ta pogłoska szkodziła Justce. choć była fałszywą. a miłość barona dla niej zdawała się ją potwierdzać.

Drudzy utrzymywali. co nie na lepsze jej wychodziło, że to było dziecko chłopskie. i że miało liczną rodzinę. której się okupywać musiał baron. Ponętę więc milionów osłabiały znacznie obawy—i wstręt, jaki rodziny znaczniejsze mają zawsze do połączenia się z niestojącemi z niemi na równi.

Lecz baron dawał wieczory. przy kotylionach prześliczne podarki; podwieczorki jego i wieczerze sławne były z wytworności, bo on sam liczył się do smakoszów, bawiono się u niego po książęcemu.

Justka wśród licznego już orszaku młodzieży, który koło niej krążyć zaczynał — nie wyróżniła jeszcze nikogo. Niejednym się posługiwała. jak p. Aurelim, naprzykład; drugich, jak p. Leona chciała trochę podrażnić i zaintrygować; bawiła się innemi: żaden do serca jej nie przemówił.

Wieczorem, papląc przed Martą o swych wrażeniach—szczebiotała żartobliwie:

— Zobaczysz, że jeśli ja kiedy się jakim chłopcem zajmę. jak ty mi to przepowiadasz—to chyba takim, co będzie miał surducinę wytartą i buty pokrzywione: taki mam zły smak. Ja to czuję....

— Niechaj Bóg uchowa! kochana panienko—

odpowiedziała staruszka — a coby to baron powiedział! On dla panienki księcia-by chciał wyszukać....

— Boże nas uchowaj od tego—zatrzepotała rękami Justka—a co-by na to wujaszek powiedział! co on, gdybym mu wujaszka zaprezentowała!

Śmiała się, klaszcząc w ręce.

Spotkawszy w towarzystwie najpierw Aurelego, którego nazwisko ją uderzyło, dowiedziała się że był synem tej, co jej wyzwolenie ułatwiła; to ją zbliżyło do niego, ale chłopak choć wesołością ją i trzpiotowstwem bawił, nie podobał się. Z większą jeszcze ciekawością zobaczyła Leona, którego sobie dobrze bardzo przypominała z Baranówce, jak ją nieraz straszył fuzyą nienabitą. Ten ani mógł jej poznać. Chciała zaintrygować go i może w ten sposób się pomścić na matce; lecz Leon nie bardzo się zbliżał i nie dawał, jak się zdawało—łatwo przyciągnąć.

Z całego towarzystwa młodzieży, tych dwu, najmniej może pokaźnych i wybitnych — nieco wyróżniała; reszta jej była obojętną. Widziała w nich tancerzy, wesołych towarzyszów zabaw—nic więcej.

Myślą sięgając w przeszłość, teraz do tej Sędzinki, od której tak porywczo uciekała, nie miała już Justka takiego żalu, ani takiego wstrętu jak dawniej. Czuła, że pomimo nieznośnego tem-

peramentu, stara biedna kobieta złą nie była i celu nigdy złego nie miała w tem, co jako obowiązek spełniała.

Taksamo wdzięczność dla p. Porochowej, zamiast wzrosnąć, ostygła w niej. Zrozumiała, iż sąsiadeczka uczyniła to więcej na przekorę Sędzinie, niż przez litość nad nią.

Rabicki w drugim roku pobytu Justki w Warszawie, odwiedziwszy ją,. jakieśmy mówili, powrócił do domu i nikomu ani słowa nie pisnął o tem przez czas bardzo długi, aż do spotkania się przed kościołem, w roku następnym z p. Porochową.

Tasama go zaczepiła, lecz gumienny zbył ją ogólnikami, podziękował, a o wszystkiem jak było, co się stało z sierotą, wahał się i nie chciał się spowiadać przed nią. Baron i Justka nakazali mu milczenie.

Porochowa zapomniała potem o gumiennym i naostatek dopiero po kilku leciech, właśnie po powrocie Aurelego do Zdunowa, w polu, na granicy, przydybawszy starca, poczęła go badać natarczywie.

— Znalazłeś ją, tę swoję siostrzenicę: czemuż mi nie powiesz co się z nią dzieje? Dlaczegóż robisz z tego tajemnicę? Cóż? Zwalała się? zmarnowała na warszawskim bruku? hę?

Stary aż się rzucił z oburzenia.

— Ale gdzie zaś, proszę jaśnie pani, wyrwało mu się mimowolnie, karaj Boże do wieku taką dolą jak jej! Ta-to dziś jak królowa jaka opływa.

Nieopatrzne to były wyrazy, gdyż Porochowa do innych swych przymiotów łączyła nienasyconą ciekawość. Nacisnęła więc tak na gumiennego i tak umiejętnie poczęła z niego wyciągać po słówku coraz, a coraz więcej, że w końcu stary, sam prawie o tem nie wiedząc, wszystko a wszystko jej wyśpiewał, a postrzegłszy się że źle zrobił, do nóg jej padł, prosząc o zachowanie tajemnicy.

Porochowej w początku się zdawało, że gumienny przesadza i bałamuci, ale przypomniała sobie baronównę Justynę, o której syn jej mówił ciągle, i zasłona spadła z jej oczu.

Natychmiast chciała wziąć syna na spytki, gdyż już osnuła świetny projekt ożenienia go z temi milionami, które sierota jej zawdzięczała.

Aurelego w domu nie było, gdyż rzadko tu przesiadywał, musiała też, gorączkowo marząc, czekać na jego powrót.

Zaledwie bryczka jego stanęła przed officyną, gdy jejmość podeszła niecierpliwie do niego. Aureli nie umiał sobie tego wytłómaczyć gdy go zagadnęła żywo o Justysię. O całej tej historyi wcale nie wiedział, a matka musiała mu ją opowiedzieć i dodała, klaszcząc w szerokie, pulchne dłonie, o grubych palcach.

— Ona mnie wszystko winna! Rozumiesz! Byłaby najniewdzięczniejszą istotą.

Aureli śmiać się zaczął. Nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do historyjki Justysi, ale radowała go ona, bo dziewczę mu się podobało, a miliony uśmiechały. Wcale nie był od tego; tylko panna, jak on ją znał—nie łatwą do zdobycia mu się wydawała.

Teraz rozumiał już i on, dlaczego, gdy mówił o okolicy Baranówki i Zdunowa, panna taką okazywała znajomość miejscowości.

Cała ta powieść, jakkolwiek trącąca bajeczką, okazywała się prawdziwą. Aureli mógł z tego skorzystać.

Porochowa o tem ani na chwilę nie wątpiła i na podstawie zdobytej fantazya jej wznosiła już gmach okazały. Jedno tylko jej do myślenia dawało: dlaczego dziewczę, które tyle jej było winne, ani razu się nie zgłosiło, nie podziękowało, nie dało znać o sobie? Przypisywała to rygorowi, z jakim zapewne nad jej stosunkami czuwano.

Pomimo pozornej swej ociężałości, którą się różniła od Sędzinki, pełnej życia, ruchawej i gadatliwej, Porochowa, raz zelektryzowana czemś, niełatwo już potem dawała się i uspokoić.

Marzenia jej przybierały rozmiary najdziwaczniejsze, nadzieje rosły olbrzymio; wszystko, co sobie układała, zdawało się jej tak niechybnem, iż

najmniejsze sprzeciwienie się wprawiało ją w gniewy okrutne.

Aurelemu więc ani mówić nie dawała o trudnościach: powinien był korzystać, zdobyć serce i otrzymać rękę. Ona mu miała pomagać—ona!! W siebie samą wiarę miała nieograniczoną.

— Dopiero się Sędzinka wściecze — wołała— gdy się przekona, jak Pan Bóg dobre uczynki wynagradza. Bo ja ci powiadam: to jest przeznaczone dla ciebie, to się tak składa, dotykalnie. Co tu i mówić!

Aureli się uśmiechał.

Byłaby z nim natychmiast się wybrała do Warszawy, ale dowiedziała się od niego, iż Baron ze swoją przybraną wnuczką był na wsi. Potrzeba było czekać do późnej jesieni.

Gdy się to działo w Zdunowie, Sędzinka także z wiadomością o Justysi chodziła wielce zadumana, raz kwaśna, to znowu dowodząc, iż sierotka, bądź co bądź, musi jej być wdzięczną, jeśli ma rozum.

Pomiędzy Zdunowem a Baranówką stosunki, jak dawniej, tak i teraz, ściślejszemi nie były, ale Aureli z Leonem zjeżdżali się częściej, bo się obaj jeszcze na wsi nudzili. Zbliżenie się chłopców wywoływało czasem i spotykanie się dwóch pań ze sobą. Sędzina, której nadzwyczaj trudno było utrzymać jakąkolwiek tajemnicę i nie wyspowia-

dać się z tego, co miała na myśli, przy pierwszych odwiedzinach Porochowej sama się z Justysią wygadała. Nie wiedziała ona, nie wierzyła w to, czy lekceważyła wciąż, iż Porochowa sierocie pomagała do ucieczki, i udała, że wcale się tego nie domyśla.

— Słyszałaś pani — odezwała się do niej — o tej historyi z Tysiąca Nocy, siostrzeniczki mojego gumiennego, Justki? Pamiętasz ją pani?

Porochowa, zmieszana, poruszyła głową.

— Tak, cokolwiek, przypominam sobie cóś... Cóż to było? — odparła niewyraźnie.

— Krnąbrny szurgot, na którego ja od rana do nocy musiałam gderać a gderać, aż mi w gardle zasychało, drapnął. Jakim sposobem dostała się do Warszawy, to tylko Bóg wie, ale oto dowiaduję się, domyślam, prawie pewną jestem, choć Rabicki kłamie i bałamuci, nie chcąc mi się przyznać, że tę Justkę wziął jakiś niezmiernie bogaty Baron, i wychowuje jako wnuczkę, dlatego, że mu straconą ostatnią prawdziwą wnuczkę przypominała. Proszęż ja pani, nie romans-że to z Tysiąca Nocy? W imię Ojca i Syna!!

Porochowa udawała, że słucha z natężoną ciekawością i uwagą, usiłując nie dać poznać po sobie, co w niej się działo. Starała się być zimną, niedowierzającą.

Sędzinka rozgadała się nadzwyczaj obszernie, wydobyła fotografią przywiezioną przez Leona.

Przyznać się musiała w końcu sąsiadka, że Aureli jej o tej baronównie mówił wiele, że ona mu się dość podobała, — ale któż mógł domyślać się nawet?....

— A no, cóż? — przerwała Sędzinka z uśmiechem — jeśli wpadła w oko panu Aurelemu, niech Rabickiemu się pokłoni: znajdzie go na toku z miotłą, a to rodzoniuteńki wuj. Tylko niech się wprzódy napewno przekona, że Baron te miliony istotnie zapisał, bo—a nużby chybiły i Justka została z panem Rabickim tylko?...

Był to niby żarcik poufały, sąsiedzki, lecz Porochowej ostrym sztyletem wbił się w serce. Śmiała się z niego, śmiała, a wnętrzności się niej poruszały. Byłaby Sędzinę biła, gdyby mogła.

— Mój Aureli — odparła, wzdychając — bardzo trudny wogóle. Tak sobie baraszkować, bawić się, tańcować, komplimenta prawić: w to mu graj; ale zakochać się i myśleć o ożenku—o, to...

— Ma rozum — zawołała Sędzinka — ja też Leonowi to mówię, ażeby się nie śpieszył, a dobrze rozpatrywał.

Ten filut dziewczyna, z mojej pomywaczki baronówna—dodała—starała się Leonka tem intrygować, że o okolicy naszej coś natrącała. Jeżeli

się nie zmieniła, nie winszuję temu, kto ją dostanie: odrazu pod pantofel i już ani się z niego wydobyć. Pojęcie przechodzi, co to była za natura uparta i nieposkromiona; dosyć powiedzieć, że puściła się tak w świat bez grosza, bez koszuli prawie, aby na swojem postawić.

— Aureli ją chwali, że się bardzo prezentuje korzystnie — odezwała się Porochowa. — Ja nie pamiętam, jak wyglądała, na fotografii niczego; ale mój syn mówi, że ma wiele wdzięku.

— Leon też nie gani jej, ale się nie unosi — przerwała Sędzina. — Otóż to ludzkie przeznaczenia i losy, nie do wiary.

— To się chyba raz w sto lat co podobnego wydarzyć może — zakończyła Porochowa, zabierając się do wyjazdu, aby dalszych rozmów uniknąć.—Sędzinka, która, już raz rozgadawszy się, pragnęła właśnie rozmowę przedłużyć, zatrzymała sąsiadkę natarczywie na herbatę.

Nie będąc czystą w sumieniu, Porochowa siedziała jak na rozpalonych węglach, gdy sąsiadka ze zwykłą sobie gadatliwością, czasem tak drażliwych dotykała przedmiotów, iż się można było obawiać smutnego tych odwiedzin końca. Tylko, że Sędzinka, jak sama sobie pozwalała wiele, tak i drugim wiele przebaczyć umiała.

Naostatek mrok zmusił do wyjazdu Porochową, która siadła do starego koczyka z córką, rozgo-

rączkowana, a że córka w czasie, gdy starsze panie rozprawiały w salonie, bawiła się z Rozalką na osobności, Porochowa więc zaczęła od examinu, czy ona się tam co ciekawego nie dowiedziała.

Obie, matka i ona, z Baranówki wyjeżdżały z tem przekonaniem, że Sędzina, mimo żartów, jakich sobie pozwalała z pomywaczki, będzie się starała wszelkiemi sposobami Leonka namówić, aby jej serce i posag pozyskał.

Wszystko to najdziwaczniej składało się teraz. Sędzinka zaczęła ciągle mówić o Justce, nie wystrzegając się wcale, najwięcej ze swoją starą panną Hanną. Ta zwróciła się do gumiennego, pojąc go słodką wódką i słowami, aby z niego coś dobyć o Justce. Oznajmiła mu nawet pół żartem, pod sekretem, że i Leonek i Aureli Poroch obaj się chcą starać o Justkę. Rabicki zmilczał, ale ten wielki honor więcej go nastraszył, niż mu pochlebił. Znał obu paniczów zblizka i do żadnego z nich sympatyi nie miał; z biedy wolałby już Leona.

Stary powiedział sobie w duchu, iż wypada ostrzedz Justkę, aby o spisku wiedziała. Radby się był sam znowu wybrał do Warszawy, lecz potajemnie nie mógł, a jawnie nie chciał.

Z pomocą czyjąś w miasteczku stary Rabicki zebrał się na niekształtny lecz z dobrego serca

list do siostrzenicy, w którym, oznajmując jej, że pewnie Aureli i Leon nadskakiwać jej będą, aby sobie pozyskać jej łaski, zaklinał, aby dobrze się miała na baczności i w niewolę nie wpadła nową.

Nad listem tym Justka, całując go, rozpłakała się: tak ją ten wuj rozczulał swem cichem zdaleka przywiązaniem i troskliwością.

Nie potrzebowała ona przestróg, a panowie Aureli i Leon, mimo wszystkich swych przymiotów, nie stali na czele tego świetnego orszaku młodzieży, który ją otaczał. Daleko niebezpieczniejsi nie czynili na niej wrażenia.

Dlaczego? Sama ona pewnie nie wiedziała, lecz pierwsze lata dzieciństwa i młodości, spędzone w walce z rzeczywistością nielitościwą, uczyniły ją nieufną, bojaźliwą, chłodną. Gdy teraz jej ktoś okazywał sympatyą, przypisywała ją rachubie i najczęściej obracała w żart zbyt gorąco objawiające się sentymenta.

List wuja rozweselił ją potem. Rada była dowiedzieć się, że Leonek z rozkazu matki ma się kochać, i obiecywała sobie żartować, bawić się kosztem jego.

Aurelemu chciała odrazu odjąć nadzieję i nie zwodzić go, bo była pewną, że trzpiot, lekkomyślny, serca jej pozyskać nigdy nie może.

Na następującą zimę, baron Raun plany wysnuwał wielkie, zamierzając liczbę dni, w których

zapraszał i przyjmował, pomnożyć, powiększyć ilość balów i wieczorów. oprócz tego zaprowadzić jeszcze obiady i t. p. Wszystko to miało na celu: piękną Justysię wprowadzić w świat, obeznać ją z tem, co życie miało najlepszego i najpiękniejszego, dać jej sposobność nabycia obyczajów wykwintnego towarzystwa. a naostatek przygarnąć artystów i literatów, którzy, jak uważał, byli dla niej gośćmi najpożądańszymi.

Z tej dawnej miłości dla elementarza w Justce teraz zrodziła się miłość nauki wogóle i potrzeba czytania, która się nałogiem stała.

Nie miała zwyczaju nigdy potem się popisywać z tem, co się nauczyła i umiała, ani dla próżnostki zagajać rozmów w przedmiotach niewszystkim dostępnych: kryła się więcej, niż chwaliła z tem, co nabywała, lecz zdradzała się niekiedy mimowolnie, przez zapomnienie.

Baron miał jej niemal za złe, że się kryła z tem, co jej cześć przynosiło, lecz dziewczę, rumieniąc się, nie dawało sobie mówić o tem.

Ta poważna strona jej charakteru tłómaczy do pewnego stopnia: dlaczego młodzież nie miała w oczach jej łaski. Dosyć było zdradzić nieuctwo i lekceważenie tego, co ona kochała, aby w jej oczach upaść nazawsze.

Wszystko, cośmy o Justce powiedzieli, choć

w części nam może wyjaśni jej postępowanie i dalsze następstwa.

Dom, salon Barona był w swoim rodzaju oryginalny, zewnętrzna jego fiziognomia nakazywała postawić go na najwyższym szczeblu elegancyi, zaliczając do rzędu najpierwszych domów stolicy. Z drugiej strony przystęp do niego był tak niezmiernie ułatwiony dobrodusznością gospodarza, łatwością jego w życiu, iż towarzystwo było najdziwaczniej zlepione z żywiołów, które gdzieindziej rzadko się z sobą spotykają. Obok elegantów, jak z igły, w białych rękawiczkach i krawatach, professorowie, którzy nigdy fraków nie nosili; obok książąt i hrabiów, rysownicy i muzycy skromni, arystokracya i proletaryat naukowy—schodziły się tu i ocierały o siebie. Był to niejako plac neutralny, i nikt nie śmiał nawet okazać, że mu sąsiedztwo jakieś niespodziane niebardzo miłem było. Baron umiał dla wszystkich być tak uprzedzająco grzecznym, że nawet już nadąsanych rozzbrajał. Dla tej ukochanej Justki byłby nie wiem kogo do salonu wprowadził; a gdy mu ktoś dawał do zrozumienia, że nie było to prawidłowem i zwyczajnem, zamykał usta tem, że Justka też nie była istotą pospolitą, coś więc dla niej poświęcić się godziło.

Justka, nietylko nic nie wymagała, o nic nie prosiła tego, tak powolnego, dziadunia, ale często

sama chciała ofiary dla siebie czynione powstrzymać; baron się jednak zapalał:

— A! co mi tam!—wołał —niech tam sobie ludzie mówią co chcą, niech sądzą jak się im podoba: moim pierwszym obowiązkiem i największem szczęściem widzieć twoje marzenia nawet, gdyby można, spełnione.

Łzy stawały w oczach dziewczęcia, rzucała mu się do nóg, wołając:

— Ale czemże ja się odwdzięczyć zdołam!

— Gdy cię będę widział szczęśliwą, moje dziecię, to mi sowicie wszystko nagrodzi — dodawał Baron. — Zresztą ja żadnych ofiar nie czynię; moje życie było tak smutne, tak ogołocone ze wszystkiego, coby je znośnem uczynić mogło, tak osierocone, że dziś z tobą, to—raj!!

I składał ręce i płakał stary.

— Tobie ja tylko to mam do zarzucenia, aniołku ty mój, żeś nadto wstrzemięźliwa, niewymagająca, jakby nieufna. Powinnaś używać, zachwycać się i poić; młodość, świeżość wrażeń nie powraca.

Nie mając żadnych nigdy tajemnic dla dziadunia, Justka mu się wyspowiadała i z listu wuja i z tych przestróg tyczących się pana Aurelego i Leona.

Baron, który ze szczególną bacznością przypatrywał się wszystkim zbliżającym się do Justki,

a miał poczucie ludzi aż do zbytku pobłażające, ale trafne, obu tych chłopaków nie liczył do pretendentów poważnych.

Wydawali mu się zbyt powszednimi, pospolitymi, podobnymi do mnóztwa innych, a on dla wnuczki wymagał czegoś nadzwyczajnego, — kogoś, coby jej był godzien.

Ustępstwo byłby może tylko uczynił w tym razie, gdyby widział miłość gwałtowną, niedającą się pokonać.

— Ani Aureli, ani pan Leon nie są straszni— odparł, uśmiechając się, stary. — Sądzę, że ich potrafiłaś ocenić: pierwszy z nich zapowiada lekkomyślnego próżniaka; drugi, stateczniejszy, może się stać nieznośnym w życiu pedantem, a tej przywary niema czem wynagrodzić. Obaj świetnych żadnych przymiotów, w oczach moich przynajmniej, nie objawiają.

Poruszył ramionami.

Panna Jolanta i Marta, która miała całe zaufanie Justki, uproszone były przez barona, aby się starały wyorozumieć, kogo ona w licznym zastępie młodzieży wyróżniać będzie.

W roku, który upłynął, panna Jolanta i Marta nie zgadzały się z sobą. Pierwsza z nich utrzymywała, że najmilszym z młodzieży był professor Dobek, człowiek ubogi, skromny, miłej powierz-

chowności, ale w tłumie ginący, tak, że mało kto o nim wiedział.

Z powołania botanik, Dobek był literatem i poetą. W świecie nikt go nie znał. Dawał lekcye Justce i to go wprowadziło do domu. Młody, bo nie miał lat trzydziestu, sam jeden w świecie, żył tylko dla nauki, i pracy.

Panna Jolanta utrzymywała, że Justka z nim i przy nim tak się dziwnie ożywiała, tak była szczęśliwą, tak nienasyconą, gdy słuchała go, iż można ją było o serdeczne uczucie posądzać, ale Dobek!! Dobek nietylko pewnie się nie domyślał nic podobnego, ale oczów nie śmiał podnieść na swą uczennicę, przed którą padał, jak przed istotą jakąś wyższą, idealną, nie z tego świata.

Marta przyznawała, że Justka się dosyć zajmowała Dobkiem, że go lubiła, ale potrząsała głową, na przypuszczenie, iż się z tego miłość urodzić mogła.

Mówiliśmy już z jak dziecinną otwartością Justka przed tą piastunką wieczorami, wszelką z siebie zrzuciwszy powagę, spowiadała się z każdej myśli i uczucia, a Marta, która miała macierzyńskie jasnowidzenia, twierdziła, że serce, jeśli się kiedy w niej poruszyło, to dla pana Zygmunta Nabrzeskiego.

Musimy więc powiedzieć, kto był ten wybrany, jeżeli Marta się nie myliła.

Niegdyś bardzo majętnych rodziców dziecię, wychowany przez nich starannie, osierocony i nagle zubożały, doznawszy przy pierwszem wyjściu na świat dotkliwego ciosu, pan Zygmunt pospolicie Zygmusiem zwany, (lubiony wogóle) był rodzajem dziwacznego desperata. Zdolny bardzo, utalentowany, chwytał się różnych powołań, rzucał je z kolei, i z ironią jakąś obracał się wpośród ludzi, napozór wszystko biorąc lekko.

Ale było w nim serce; zdolnym do poświęceń, okazał się w życiu nieraz; miał w sobie coś szlachetnego, odważnego, rycerskiego.

Przytem, pięknej bardzo powierzchowności, w obejściu się miły, zdobywał serca łatwo, ale nie było w nim, jak się zdawało przynajmniej, nic mogącego przyszłość zapewnić. Nadto rzeczy umiał, próbował, porzucał—i wogóle urągał się z losu tak, jak los z niego czynił sobie igraszkę.

Wiadomem było, że ten, niegdyś majętny, pieszczony, do najlepszych towarzystw nawykły chłopak, teraz dla powszedniego chleba pracował po żydach, w takich różnych dziurach obrzydliwych, iż się do nich przyznać trudno było.

Ale, że miał łatwość pracy nadzwyczajną, pojęcie bystre, zarabiał sobie na życie tak szczęśliwie, iż mu nie brakło tego, co potrzebował, aby się módz pokazać w salonach i znajdować w lep-

szych towarzystwach, bez których obejść się nie mógł.

Zygmuś od przypadkowego poznania panny Justyny widocznie ją wyróżniał i ona dawała mu pierwszeństwo przed inną młodzieżą, choć jego ironią, szyderstwo, dowcipowanie naganiała. On jeden umiał ją czasem smutną wprawić dobry w humor.

Była z nim swobodną może dlatego, że według pospolitego pojęcia nie kochał się w niej, nie grał roli rozmiłowanego, ale mentora. Mówił jej często bardzo otwarcie, czego kto inny nie ośmieliłby się pewnie; nie lękał się narazić; miał rodzaj pełnej uszanowania poufałości, która Justysię ujmowała.

Mentorstwo swe posuwał tak daleko, że czasami, gdy się ukazywała w salonie, krytykował jej ubiór, strofował ją za niebaczne słówko. Od niego Justka jakoś wszystko dobrze przyjmowała.

Za to w świecie nie miała baronówna obrońcy, wielbiciela żarliwszego nad Zygmusia.

— Wszystkie nasze panny ile ich jest, nie warte jej małego paluszka! — mawiał głośno. — Ma tę ogromną wyższość nad niemi, że ją dwie najdzielniejsze wychowywały potęgi, jakie mogą człowieka zolbrzymić i udoskonalić: bieda i cierpienie, a potem miłość. A powiadam państwu, co się z niedowierzaniem uśmiechacie, słuchając

mojej apologii, że jej nikt a nikt nie zna. Ona tak swoję piękną stronę osłania, jak inni wady i plamy.

Gdy mu zarzucano, że jest w niej rozkochany, i dlatego wszystko mu się w niej wydaje tak uroczem, śmiał się.

— Rozkochanym nie jestem! — protestował — mam nadto rozumu, ażebym sięgał po to, co dla mnie jest niedoścignione. Ta istota, jak wiele jej podobnych, padnie ofiarą jakiegoś minotaura, którego jej baron, los, albo własne zaślepienie wybierze.

Traf raz jej dał nie do uwierzenia wielkie szczęście, a to zapowiada, iż teraz odpokutowywać za nie będzie musiała.

— Przepraszam — zarzucił mu raz jeden ze starszych panów—czy grywałeś pan kiedy w karty, czy wiesz, co to jest *serya.*

— A! a! wiem o niej ze słychu — odparł Zygmunt—serya szczęśliwych losów trafia się w *rouge et noire*, ale w życiu człowieka!!

W takich-to mniej więcej warunkach, gdy pani Porochowa wybierała się do Warszawy, salon Barona otwierał się na następującą zimę.

W Zdunowie tajono się z tem, że matka miała Aurelego odprowadzać do Warszawy, ale Sędzinka miała swych przyjaciół nawet u boku są-

siadki i wiedziała zawczasu, co knuto i jak tam spiskowano.

Ona aniby była chciała, ani mogła, odprowadzać Leona, ale opatrzyła go we wszelkie możliwe instrukcye, nabiła mu głowę owocami wieloletniego doświadczenia, uzbroiła go we wszystek ten tryumfalny oręż, którym się pospolite zdobywają serca, a że Leonek w jej oczach miał nieskończoną wyższość nad Aurelim, niewątpiła więc bynajmniej, że on sobie serce Justki pozyskać potrafi.

Z takim majątkiem, o jakim mówiono, Leon dawną świetność rodu (bo któryż ród nie był świetnym niegdyś, i nie ma o tem tradycyi?) miał odżywić, siostrę wyposażyć i zająć stanowisko, na jakie zasługiwał.

Marzyła Sędzinka i uśmiechała się zawczasu, pewna, że nadzieje te Leonek ziścić potrafi.

O synu miała wyobrażenie wysokie i wistocie usprawiedliwione, bo dokoła nie widziała nikogo, ktoby się z nim mógł porównać. Leon był praktyczny, wyrachowany, miał wiele taktu, nie zbywało mu i na pewnej zręczności w postępowaniu, a oczy matki nie mogły dostrzedz, że obok tych przymiotów nie miał w sobie nic sympatycznego, nic pociągającego.

Wybranie się Aurelego z matką, połączone było z tylu trudnościami, że się nieco opóźniło i p. Leon

mógł go wyprzedzić. Z opowiadań o domu barona wnosząc. Porochowa przekonywała się, że potrzebowała co się zowie—wystąpić; zatem nietylko sama dla siebie, ale dla towarzyszącego dworu musiała wszystko sprawiać nowe. Koszta były ogromne, ale nadzieje niemniejsze: rachowała na to, iż biedne dziewczę musiało ją czcić jako swą wybawicielkę, chociaż sama ona wiedziała najlepiej, dlaczego i w jaki sposób dokonała tego dzieła, którem się teraz chlubiła. W jej wyobraźni przybierało ono teraz wcale inne barwy i fizjognomią.

Szereg przyjęć i wieczorów w domu barona rozpoczął się naprzód skromnemi herbatami dwa razy w tygodniu, na które raz na zawsze zaproszeni byli wszyscy znajomi. Zwykle kilku starszych panów przychodziło dla złożenia partyjki wista z gospodarzem, reszta zaś towarzystwa zajmowała się rozmową, przeglądaniem nowości. których zawsze było pełno na stoliku Justki—bo baron kazał przysyłać, a księgarze chętnie mu służyli—czasem muzyka. Nie tańcowano jeszcze, bo Justka, choć zręczna i licząca się do lepszych tancerek, nie miała szczególnego upodobania w skokach.

Wielu biedaków zwabiało i to do domu barona, że oprócz herbaty ze wszystkiemi możliwemi do niej przystawkami, dawano potem doskonałą gorącą wieczerzę, wykwintną i obfitą.

Na pierwszy jednak z tych wieczorów osób się zebrało niewiele, gdyż jednych w Warszawie jesz-

cze nie było, inni o powrocie barona z wycieczki na wieś nie wiedzieli.

Professor Dobek, Zygmuś, a później pan Leon stawili się pomiędzy innymi.

Zygmuś. który był szczerym i otwartym z piękną panną, drugiego wieczora powiedział jej, że ją znalazł po powrocie ze wsi zmienioną i smutniejszą. niż bywała zwykle.

— Smutniejszą?—odparła Jnstka, siląc się na uśmieszek,—ale. powiedz-że mi pan, kiedyś mnie widział roztrzepaną i wesołą? Historya mojego życia nie jest panu obcą. a ja się z nią nie taję. Otóż, może skutkiem tej przeszłości czy natury mojej—mam przeczucie jakiegoś czegoś mi zagrażającego. Zdaje mi się zawsze. żem się wkradła nieprawnie na to stanowisko. które mi się nie należy. i że z niego zepchniętą być muszę — i to mnie czyni nieśmiałą i trwożliwą.

— Jest to poprostu przywidzenie—rzekł wesoło Zygmuś—bo nie masz pani najmniejszego powodu. żadnej oznaki, któraby zmianą położenia grozić mogła. Pocóż się tem dręczyć!

— To się nie dzieje dobrowolnie—odparła Justka. — Bronię się przeczuciom, lecz one uparcie powracają.

— A! nie— zawołał Zygmuś raźno — ale człowiek jest tak stworzony, że gdy mu dobrze, gdy

nic nie brak, zmyśla sobie gorycze dla przyprawy monotonnego żywota.

— Przyznasz pan, że mnie obwiniać się nie godzi o wybryki fantazyi; życie moje rzeczywiste przechodzi fantastycznością wszystko, coby wyobraźnia wymyśleć mogła zatem—może to mojem przeznaczeniem?

Zygmuś się oburzył.

— Ale dajmyż pokój temu przedmiotowi — rzekł— ja-m winien, żem go zagaił. Bądź pani wesołą, nawet w najgorszym razie, człowiek powinien, póki może, z chmur się otrząsać. Nie cierpię tych Szopenhauerzystów, którzy plują drugim w jadło, sami jeść nie mogąc. Moją zasadą i prawidłem: mężnie naprzód, wesoło i nie skarżąc się nigdy! Skarga dowodzi słabości, zwiększa bóle, a nie słodzi nic.

— Masz pan słuszność—odezwała się Justka — zasadę tę przyjmuję od pana; tylko: zkąd sił na jej zastosowanie codzienne?

— Dam jeden sposób—wtrącił Zygmuś. — Gdy się zechce skarżyć i stękać, wziąć się do pracy—zmusić.

Z widocznem współczuciem podała mu rączkę Justka. — Rozmowę dalszą przerwali krążący i cisnący się do pięknej panny, z których każdy się starał zwrócić na siebie jej uwagę. Leon też, po teraźniejszym powrocie do miasta odwiedzający

barona wydał się Justce zmienionym jakby zagrzanym i podbudzonym do nadskakiwania jej. Zdziwiło ją to trochę.

Leonowi w tem przypodobywaniu się pięknej pannie bardzo się nie mogło szczęścić, z powodu, że ani zajęcia, ani upodobania ich nie miały z sobą nic wspólnego.

Zagajał najrozmaitsze przedmioty, ale ani sztuka, ani literatura, ani nauki nie zajmowały go wielce, a życie praktyczne i powszednie plotki nie obchodziły wcale Justki, która słuchała ich zmusu, lecz: nawet nie odpowiadała.

Tego dnia Leon, niewiedząc już czem ją zająć, zapytał: czy panna Justyna zamierza w tym roku wiele tańcować i bywać w świecie?; zdawało mu się, że—miała słabość do tego.

Spojrzała na niego trochę szydersko.

— A pan?—zapytała.

— Ja?—rzekł wesoło Leon — miałem pozostać na wsi i zamierzałem gospodarować; matka rozkazała mi się jeszcze ocierać o ludzi: powróciłem więc, niemając wiele do czynienia i—muszę się choć bawić.

— Pana to bawi?—wtrąciła złośliwie Justka.

— Zmusza mnie pani do powiedzenia komplimentu, bo inaczej-bym skłamał — rzekł Leon. Mnie to bawi naówczas, kiedy wśród zabaw panią spotykam.

Dziwną minkę przybrawszy, Justyna poważnie bardzo i ceremonialnie, zamiast odpowiedzi—dygnęła mu.

Zboku stał nieśmiały a ulubiony jej professor Dobek. Zwróciła się do niego, jakgdyby z Leonem rozmowę za wyczerpaną uważała.

— Professorze, zdobyłżeś co czasu wakacyi? Masz jaką nową roślinę?

Dobkowi się oczy zaśmiały.

— A? pani—rzekł—ludzie już tak szperali po wszystkich kątach, szukali i spisywali, że nam, późno przychodzącym, pozostały tylko szczątki po nich i niedogryzki.

Co było w naszej florze pięknego, okazałego, wszystko to spisano, wyrysowano, zaregestrowano. My musimy maluteczkie, niepostrzeżone mchy i porosty przez mikroskopy studyować, a gdy kto z nas odkryje nową pleśń nienazwaną i nieuklassyfikowaną, musi się i tem zaspokoić.

— A znalazłeś pan chociaż pleśń? — zapytała Justyna.

— Kilka—odparł z widoczną radością professor.—Drżę tylko, że gdy ja tu je mam za moje zdobycze, może już ktoś je przedemną wpisał i odkradł owoc pracy.

Justynka słuchała go z zajęciem; Zygmuś, który professora lubił, stał przy nim; Dobek zaczął żywo opowiadać o swych poszukiwaniach, o roz-

koszach mikroskopu, o utworach maleńkich, niepostrzeżonych, które są całym światem nieznanym.

W chwilę potem muzyk rozprawiał z nią o Wagnerze; potem u stolika fotografia nowego obrazu wzbudziła gorące rozprawy o nim.

Zygmuś był w duszy artystą i dosyć się sztuką zajmował, a że inni często prawili androny, wdając się w rozprawy artystyczne, złośliwym więc dowcipem swym chłostał dyletantów.

Bawiono się tego wieczora doskonale, może lepiej niż kiedykolwiek oddawna; Justynka nawet dała się rozerwać, chmurki znikły z jej czoła; uśmiech i wesołość rozpromieniły ją.

Ile razy z tego usposobienia chciał korzystać pan Leon i zbliżał się do niej — zbywała go grzecznie lecz zimno, co mocno biednego jątrzyło. Czuł się nie gorszym od Zygmusia i professora, którzy w jego oczach byli figurami nieznaczącemi, a im dawano widocznie pierwszeństwo. Był nie w humorze, dotrwał jednak do wieczerzy, spodziewając się w ogólnej rozmowie wynagrodzić sobie to niepowodzenie; lecz u stołu Zygmuś i jeden ze starszych panów tak opanowali wszystkich i zajęli, że Leon ledwie słowo mógł wtrącić, a to, z czem się odzywał, przechodziło niepostrzeżone.

Wyszedł więc od barona wcale nie rad z tego

pierwszego wystąpienia, choć usiłował się sam przekonać, że w przyszłości da się to naprawić. Nudziło go to, co nazywał śmieszną pedanteryą w pannie, zajmującej się naukami i sztuką, gdy powinna była, według niego, myśleć o tańcu, o zabawie i zalotach. Nie wątpił, że miała jakąś słabą stronę, którą odkryć postanowił i z tego korzystać. Leon miał się za niepospolicie obdarzonego i zręcznego młodzieńca.

Aurelego w tydzień potem jeszcze nie było. P. Porochowa ciągle potrzebowała czegoś i coś ją powstrzymywało. Naostatek wybrała się w podróż tę z gotowym planem postępowania.

Odrazu się narzucić niespodzianie Justce nie śmiała: ułożonem więc zostało, że list ma ją uprzedzić.

W liście tym, pracowicie zredagowanym, pisanym i przepisywanym kilkakrotnie — wyrażała Porochowa całą swą radość i zdumienie, z wiadomością o szczęśliwym losie, jaki spotkał Justkę. Starała się przypomnieć jej swą ofiarę, zasługę, pomoc....

List ten w niemały kłopot wprowadził dziewczę. Pamiętała dobrze, jak się z nią obeszła Porochowa, rozumiała dlaczego tak postąpiła, a nie chciała okazać się—niewdzięczną. Przybycie jejmości, obowiązek przyjęcia, zajmowanie się nią, niesmak, jaki to mogło zrodzić w baronie, wpra-

wiły ją chwilowo w troskę niemiłą. Rozważała jak miała postąpić? i—poszła z listem do dziadunia, aby mu się wyspowiadać.

Nieograniczonej dobroci i wyrozumiałości był ten biedny baron. Wiedział on z opowiadań powtarzanych Justki: w jaki sposób i dlaczego Porochowa pomagała jej do ucieczki; nie sądził, aby dziewczę do wielkiej wdzięczności było obowiązanem—ale, gdy Justka o niej oznajmiła, rzekł, śmiejąc się:

—Proszę cię, jeżeli się jej zdaje, że jest dobrodziejką twoją, jeśli ma uczucie jakie w sercu dla ciebie, czemuż jej nie przyjąć dobrze i serdecznie? Długo tu nie posiedzi. Zaproś ją na obiad, na herbatę, ugość, obdaruj, a ja pomogę ci w tem.

Od czasu, jak Porochowej nie widziała Justka, jej własne pojęcia o ludziach się zmieniły; nie była pewną jak się jej ona teraz wyda, a przeczuwała, że wrażenie korzystnem nie będzie.

Cóż było robić? Zamiast odpowiedzieć na list, pojechała do Hotelu Krakowskiego, w którym stanęła Porochowa, i znalazła ją tam nieubraną i zamyśloną nad podanym rachunkiem wczorajszym, który przeraził ją summą ogólną, choć hotel do najdroższych się nie liczył. Pokoiki zajmowane od dziedzińca były w nieładzie, brudne i ciemne. Pan Aureli towarzyszył matce.

Gdyby nie wiedziała zawczasu, iż tam znajdzie

dawną znajomą, Justka w zestarzałej, zadychanej, pomarszczonej jejmości nie poznałaby Porochowej, tak jak ona pewnie w ślicznej tej, skromnie, ale nadzwyczaj starannie, ustrojonej panience nie domyśliłaby się obdartej Justki.

Przyjęcie ze strony Porochowej było pełne zapału i uniesienia. Nie wiedziała, gdzie ją i pannę Jolantę posadzić; mówiła, płakała, patrzała z rozrzewnieniem—słowem: dawała oznaki takiego wzruszenia, iż Justka, zmieszana od progu, jeszcze bardziej się zakłopotała. Do tego uczucia trudno się jej było dostroić.

Porochowa poczęła od wspomnień łzawych, jak Justkę w kościele, ot taką, ot tyćką (pokazywała ile od ziemi odrosła) widywała, jak ona ją zawsze żywo interessowała, jak bolała nad jej losem i tam dalej.

Wszystko to znalazło się teraz, choć dawniej oznak współczucia innych, nad wybadywanie jej o Sędzinkę, nie przypominała sobie Justynka. Porochowa była pewna, że tem sobie ujmie i zaskarbi Justkę, a znalazła ją zapewne dosyć zimną, bo—dziewczę rozgrzać się nie umiało. Nastąpiło zaproszenie na obiad i herbatę.

Przybyła zaraz na wstępie chciała z synem wystąpić i wyrozumieć Justkę, lecz ta, zaledwie spójrzawszy na p. Aurelego, rozmowę zwróciła. Matka potem, umyślnie naprzód popychając jedy-

naka, sama ustępowała, aby on mógł się zbliżyć; lecz i ten manewr strategiczny się nie powiódł. Rozmyślnie Justka chciała jej odjąć nadzieję, której się domyślała.

Nie bawiąc długo, Justka, ponowiwszy zaproszenie, z uszanowaniem i grzecznością, lecz chłodno dosyć, pożegnała panią Porochową, która ją wyprowadziła aż na wschody.

Aureli zeszedł aż na dół do powozu, towarzysząc pannie Justynie.

Powróciwszy, zastał matkę smutnie zadumaną wpośrodku izdebki, z oczyma zwróconemi na rachunek hotelowy. Zaledwie syna zobaczywszy Porochowa odezwała się do niego,

— Mnie się widzi, Relku mój, że my to wszystko napróżnośmy podjęli. Co się z tej dziewczyny zrobiło! Proszę ciebie, pamiętam, ręce miała zarobione, poodmrażane, brzydkie... a dziś —jak zdjęła rękawiczkę...

Aureli się uśmiechał.

— Ręce — to nic—odparł—ale główka i serce! rzekł — tym się dopiero dziwować.

— Czy ona dla wszystkich tak zimna i sztywna? — zapytała matka.

— Jam jej inną nie widywał — rzekł Aureli.

Posmutniała wielce Porochowa, lecz natychmiast trzeba się było zająć przygotowaniem ubrania do obiadu, i to rozerwało nieco biedną

parafiankę, którą obyczaje i cały porządek życia wielkiego miasta co chwila wprawiały w zdumienie, tak, że bez syna obejść się nie mogła.

Zwątpienie o powodzeniu po przyjęciu i obiedzie u Barona jeszcze się powiększyło. Domu na takiej stopie nigdy w życiu nie widziała Porochowa. Baron, mimo grzeczności, swem obejściem się pańskiem nie dozwalał jej się spoufalić; nie śmiała mówić, obawiała się z czemś niestosownem wyrwać i powróciła do hotelu zmęczona, przybita, ze złemi przeczuciami, wyrzucając sobie, że przez miłość dla syna ważyła się na tę wyprawę po złote runo.

Aureli, który w oprawie domku wiejskiego błyszczał jak brylant, tu się jej wydawał—nawet macierzyńskiemu sercu — przygasłym i zmalałym.

Na obiad razem tego dnia proszony Zygmuś zupełnie go na drugi plan usunął i kilka razy Aureli widocznie placu mu dotrzymać nie mógł.

Wróciwszy do hotelu, po obiedzie tak smakowitym, że sama o tem nie wiedząc, Porochowa w nim miarę przebrała, musiała naprzód niezmiernie wiele pić wody, potem herbaty i uczuła się niedomagającą.

Gdy Aureli mówił jej dobranoc, szepnęła:

— Masz ty jaką nadzieję?

— Nie widzę powodu, abym miał zwątpić — odparł syn. — Niech mama się nie turbuje, a mnie zostawi staranie: ja będę wiedział jak sobie poczynać.

— A stary baron! Nie możnaby jego ująć sobie? — szepnęła matka.

— U mnie to wszystko wchodzi w rachunek — rzekł poważnie Aureli, więcej okazując pewności siebie, niż jej miał wistocie.

Spytawszy jeszcze o Leona, bo i ten ją niepokoił, uspokoiła się naostatek zmęczona, wzruszona parafianka i po rumianku, który dzień zamknął, udała się na spoczynek.

Pobyt Porochowej w Warszawie, w ten sposób rozpoczęty, nie przeciągnął się zbyt długo. Sama ona postrzegła, że mało mogła być synowi użyteczną, a w towarzystwie otaczającem Justkę czuła się zbyt obcą. Koszta przytem znaczne zastraszały nie nawykłą do wydawania gotówki, i po kilku dniach, otrzymawszy drogocenny zegareczek od panny, inną jakąś pamiątkę od barona, Porochowa, dosyć smutna, ze łzami opuściła miasto, przekazując synowi dalsze staranie.

Naprawdę wielkich nie miała nadziei, a pocieszało ją tylko to, że Leonkowi nie lepiej się powodziło. Aureli zaręczał jej za to —i nie mylił się.

Była jednak różnica pomiędzy nim a Leonem.

Obaj oni rozpoczęli starania z sercami zamkniętemi, Aureli trzpiot i lubiący się bawić. wcale się kochać nie myślał; Leon zimny. obrachowany, praktyczny z początku też przypatrywał się tej Justce, jako fenomenowi, nie czując dla niej sympatyi. lecz w nim była możność przywiązania się i niezużyte na płoche igraszki serce.

Jedna rozmowa poważniejsza z Justką uczyniła na nim wrażenie głębokie; uznał ją, jak inni, za istotę wyjątkową i godną tego, aby się nią zająć żywo.

Obudziła w nim naprzód ciekawość, potem sympatyą.

Nie narzucał się jej zbytnio, lecz Justka spostrzegła nawet, że się zbliżyć usiłował i sam w lepszem okazać świetle.

Chociaż wspomnienie Sędzinki i młodości odstręczało ją od Leona, była nadto sprawiedliwą, ażeby nie ocenić go i nie wyróżnić.

Dostąpił tego honoru, którego mu współzawodniczący Aureli wielce zazdrościł, że z nim długo i poważnie rozmawiała. nie odprawując go żarcikami, jak młodzież inną.

Leon po kilku takich zamianach myśli nabył przekonania, że stracić głowę dla niej nie było trudno. Jeżeli się na dni kilka oddalił i nie widywał jej, czuł już tęsknotę i powracał.

Rachuby na miliony, z jakiemi go tu matka

wyprawiła, wcale nie były na pierwszym planie. Leon czuł, że w zupełnie ubogiej kochać-by się musiał, taką dla niego miała ponętę. On sam pod jej wpływem widział się wyszlachetnionym.

Aureli żartował z niego, że... zaszłapał, jak się wyrażał, na co Leon nie odpowiadał nawet.

Do towarzystwa, o którem mówiliśmy, zima znaczny, nowy kontyngens przyniosła. Salon barona był przepełniony, a piękna Justka miała tylko trudność wyboru wśród świetnego orszaku, jaki ją otaczał. Nikt jednak z tych wielbicieli nie ośmielił się dotąd wystąpić tak wyraziście i dobitnie, ażeby innych odstręczył. Justka szczególniej trzymać umiała ich na wodzy, w pewnem oddaleniu, którego bliższa znajomość nie zmniejszała.

Tym, którzy się odważali na dwuznaczne uczuć swych wypowiadanie, dawała odpowiedzi wcale nie zachęcające.

Baron, który jej zostawił zupełną swobodę, będąc pewien, iż jej nie nadużyje, sam nie uczynił żadnego wyboru, nie okazał nikomu, iż by go sobie życzył, ani Justki nie chciał żadną pokierować skazówką.

Jednakże miał od roku już w sercu życzenie; z którem się taił.

Rok upływał właśnie, gdy jeden ze starych partnerów wista barona, przyprowadził raz z sobą

i zaprezentował mu, bardzo przyzwoitego, około lat trzydziestu mogącego mieć człowieka, barona także, Inflantczyka, czy Kurlandczyka, którego nazwisko, von Brock, uderzyło starego.

Prababka barona była z tego domu. Przybyły gość wiedział o tem dobrze i z tego powodu nawet życzył sobie przedstawić się dalekiemu powinowatemu.

Baron, pozbawiony rodziny, przyjął go z wielkiem uczuciem, z jakąś rzewnością, jakby w nim znalazł drogą gałązkę szczepu swojego.

Brock, ani brzydki, ani piękny, ani młody, ani stary, bo fiziognomią miał, na której wiele się nie wyraża, wychowany starannie, należał do jednej z tych rodzin niemieckich, osadników odwiecznych, która w tradycyjach swych miała służbę publiczną. Ojciec, dziad, pradziad, zajmowali wysokie posady; jemu też zaledwie dano ukończyć lyceum i ubrano go natychmiast w vicemundur, sadząc za stół do papierów—czyniąc go kółkiem w tej ogromnej machinie, która każdemu państwu jest niezbędną, ale wytwarza całe zastępy ludzi, co już na nic się nie zdali, chyba tylko do tych funkcyi, pochłaniających wszystkie ich władze.

Brock miał przyzwoite maniery w salonie, nic mu zarzucić nie było można; lecz myśli jego obra-

cały się w ciasnej sferze, poza którą skrzydła im opadały.

Z Brockiem można było począć rozmowę o czemkolwiekbądź: zawsze się ona kończyła jakąś historyą, albo osobliwego processu albo szczególnego przebiegu sprawy, postępowania urzędu, rozstrzygnięcia władz i t. p.

W Warszawie przebywał baron ze szczególnem poleceniem, a że missya nie była pilną, a on tu pobyt znajdował przyjemnym, nie śpieszył napowrót do swego w ministeryum stanowiska.

Z tą karyerą urzędnika łączył, naturalnie, baron obyczaje do trybu życia tego przywiązane; spokojnego temperamentu, rozrywek nie szukał innych nad umiarkowaną grę w karty. Stół wykwintny i kilka godzin salonowej rozmowy.

Literatura, sztuka i t. p. przedmioty obchodziły go tylko tyle, ile z nich lepsze towarzystwo zapożycza dla osolenia swej exystencyi; zresztą były one dla niego zupełnie obojętne.

Młody jeszcze, bo nie miał lat trzydziestu, Brock już nałogi pewne poprzejmował i kolej sobie utarłszy, nie myślał z niej zbaczać. Było mu dosyć tego życia i więcej nie pragnął od niego.

Nie będąc bogatym, bo rodzice mu zadłużony zostawili majątek, baron nie miał z czem zbyt burzliwej młodości pędzić. Stosunki jego z płcią

piękną ograniczały się do łatwych w jego sferach, a płochych związków z średnich lat paniami, które zarazem podejmowały się wychowania i opieki nad młodymi urzędnikami.

Przeszedłszy przez rączki takich trzech instytutorek, z ich pomocą uzyskawszy stanowisko, które już o swej sile dalej kroczyć dozwalało, baron Brock dotąd nie myślał o małżeństwie, i nie miał wielkiej do niego skłonnosci. Dopiero spotkanie z Raunem, bogatym, mającym jednę przybraną wnuczkę, a okazującym mu wielką czułość, myśl pewną nasunęło.

Okoliczności, sposobność była wyjątkową.

Stary baron niezmiernie sobie upodobał Brocka, nie umiejąc powiedzieć dlaczego. Nie ulegało wątpliwości, że bardzoby był pragnął wydać za niego wnuczkę, ale nie dał tego poznać po sobie. Za nic w świecie gwałtu-by jej zadać nie chciał.

Sprzyjał jednak zbliżeniu się Brocka do swej wychowanicy, badał ją o niego i nie mógł się wydziwić, że ona się na nim nie poznała. Wistocie tak było: Justka nie umiała go ocenić, a co gorzej, obudzał w niej rodzaj jakiegoś wstrętu i obawy, której w sobie zamknąć nie była zdolną.

Dosyć było ukazania się tego sztywnego vicemunduru, aby jej odjąć humor, onieśmielić ją, oniemić. Baron znajdował ją piękną, miłą, ale, zalecać się jej nie myślał. Parę razy spróbowawszy

z nią dłuższej rozmowy, znajdował niepodobieństwem porozumienie się. Myśli ich, zajęcia, wspomnienia nie miały z sobą nic wspólnego.

Po wielu próbach, gdy mu się niczem Justki zająć nie udawało, baron wpadł na myśl szczęśliwą opisywania jej, jak były urządzone salony w eleganckich domach stolicy, z której przybywał. Temat ten niewyczerpany starczył mu do zabawiania jej, a słuchająca mogła przynajmniej wtrącić coś dowodzącego, że przedmiot ten ją zajmował.

Na wszystkie obiady i wieczory baron Brock był proszony, dawano mu miejsce obok Justki, stał się niemal domownikiem—lecz do poufałości z panną nie przyszło.

Dla przypodobania się jej tańcował nawet kadryla z wielką gracyą, ale i tem sobie łask pozyskać nie mógł.

Stary Raun, postrzegłszy, że się tu jakoś stosunek nie wiąże, nie nalegał; zdawało mu się, że panna sama zczasem się pozna na człowieku, którego on cenił bardzo wysoko.

Do swych wistowych przyjaciół stary mawiał czasami:

— A może być ministrem!

Nikt temu nie myślał zaprzeczać, lecz teka ministeryalna w oczach panny Justyny nie dodawała mu uroku.

Dziewczę, łatwo odgadłszy życzenia dziadka, dręczyło się tem, że im zadość uczynić nie mogło. Sama myśl poślubienia tego vice-munduru przejmowała ją grozą.

Zygmuś, gdy chciał dokuczyć pannie Justynie, napomykał jej żartobliwie o tem, że dziad zmusi ją może do oddania ręki baronowi.

— Naówczas—odzywała się Justka—wiesz pan, cobym zrobiła? Zapakowałabym w węzełek moich parę koszul i uciekłabym gdzieś w świat.

— W takim razie, na miłość Boga, niech pani mnie raczy pozwolić, abym jej towarzyszył — mówił Zygmunt — mój węzełek nie jest pewnie większy od tego, jaki pani zabierze: ruszymy, przynajmniej wzajem sobie dodając otuchy!

I kończyło się to śmiechem, bo ktoż ze strony dziadunia mógł przypuścić przymus?

Baron Brock ciągle bawił tu jeszcze, a że Raun stary okazywał mu wielką sympatyą i bawił się jego towarzystwem, widywali się prawie codziennie.

Rozmowa często zwracała się ku przeszłości, ku rodzinie, i Brock z zajęciem wielkiem przejrzał wszystkie familijne papiery barona, a że własną genelogią w heroldyi bardzo starannie opracował i znał jej wszystkie rozgałęzienia, cieszył się tem, iż z rodziną Raunów nie jedne, ale wielorakie mógł wykazać związki i poufnie przyjaciołom szeptał, iż właściwie po bezdzietnym baronie spadek jemu, nie komu innemu, się należał.

Mówiąc to, uśmiechał się figlarnie i dwuznacznie.

— Wiem o tem — dodawał poufnie, iż stary rozporządził całym majątkiem, zapisując go przybranej wnuczce—lecz...

Znaczące milczenie zamykało usta słuchaczom barona.

— Gdyby panna chciała mnie za męża—mówił niekiedy — wszystkoby się najśliczniej ułożyć mogło, ale panienka woli młodszych, a ja jakoś zająć jej nie umiem, no, i nie wiem, czy w życiu mybyśmy z sobą zgodzić się potrafili.

Dosyć często dowiadując się coraz szczegółów nowych o świetnym stanie majątkowym barona, Brock powtarzał, że pańska ta fortuna w obce ręce przejść-by nie powinna. Staremu jednak przyjacielowi nigdy nie dał poznać tej myśli swej, nie chcąc go martwić i ku sobie zniechęcać.

Starannie dowiadywał się zboku, czy istotnie testament i rozporządzenie majątkiem było dokonane i formalne. Zdawało się go to wielce obchodzić, a jakby dla uśpienia czujności Justki, względem niej znajdował się Brock z nadskakującą grzecznością. Przynosił bukiety, które ona do garderoby wyrzucała, bawił ją osobą swą i rozmową, niekiedy nawet zbyt długo opisywał cuda salonów. Malachitową paterę musiała już przyjąć wostatku.

Wszystko to serce barona jednało mu coraz bardziej.

Tymczasem wśród otoczenia swego, napozór szczęśliwa, ale z jakąś troską w sercu niewypowiedzianą, Justka obracała się w kółku przyjaciół, uśmiechając się, starając rozerwać, nie mogąc obronić się trwodze przeczuć jakichś bolesnych.

Panna Jolanta i poczciwa Marta zarówno starały się ją rozerwać i zmusić do używania szczęścia, jakie się jej tak widocznie uśmiechało. Brakło może tego przywiązania silniejszego do kogoś wybranego, któreby życiu cel upragniony wytknęło.

Justka lubiła bardzo Zygmunta, ceniła Dobka, czasem nawet interessował ją Leon, w którym rodziła się gwałtowna namiętność; żaden z nich jednak całkiem jej serca nie opanował. Zygmunt był najbliższym, bo w nim widziała wyższość umysłową i energią charakteru niepospolitą.

Jednego wieczora, ostatnich dni kończącej się zimy, stary baron, smutniejszy niż zwykle, zdrzemnął się przy kartach, a potem, wcześniej niż innych dni zapragnął pójść na spoczynek. Ociężały był i milczący, pocałował w czoło Justkę; ułożono go do snu, napoiwszy ziółkami.

Noc przeszła spokojnie, lecz gdy nazajutrz stary kamerdyner o zwykłej godzinie przyszedł uchylić firanki i zapytać: czy miał podać do łóżka kakao—ujrzał ze zdumieniem, że stary, co się nigdy nie trafiało, nie przebudził się, gdy wchodził. Z głową zwisłą leżał uśpiony, blady, a otwarte usta wydały się kamerdynerowi dziwnie zsiniałemi. Jedna ręka zwisła leżała na okryciu, dotknął ją ostrożnie i przeraził się jej chłodem.

Teraz dopiero dostrzegł, że czoło było żółto-

białe i zbliżywszy się krzyknął, poznał bowiem że stary—nie żył. Śmierć przyszła nocą po cichu, aby zakończyć ten żywot, już oddawna ciężki jemu, a ludziom nieużyteczny.

Posłano po doktora, niedając znać reszcie domowników, bo się spodziewano, że może ratować będzie można jeszcze; lecz wezwany lekarz oświadczył, że zgon już przed kilku godzinami nastąpił i nic już przedsiębrać nie można.

Marta i Jolanta, obawiając się o Justkę, użyły wszelkich środków, aby jej pierwszego przerażenia oszczędzić i przynieść ulgę w smutku. Znalazły ją na podziw istotą stałego umysłu, zrezygnowaną i nieulęknioną.

Poszła klęknąć i modlić się, a płakać przy ciele; wdziała żałobę, a że testament wyznaczył jej opiekunów, oczekiwała, co oni dla niej postanowią.

Śmierć w szeregach pretendentów uczyniła ogromne wrażenie.

Niektórzy z nich przybiegli z ofiarą usług i kondolencyami, inni czekali, aby się położenie wyjaśniło.

Wiedziano, że testament prawnie uczyniony istniał.

Tymczasem exekutorowie testamentu i domownicy zajęli się wspaniałym zwłok pogrzebem. Za karawanem postępowała Justka w grubej żałobie, lecz baron Brock wyrachował się tak, aby

w pełnym mundurze, krepą pookrywanym, znaleźć się w pierwszym rzędzie u jej boku.

Tłumy niezmierne ciekawego ludu, towarzyszyły obrzędowi z nadzwyczajną okazałością dokonanemu. Nazajutrz zapowiedziano otwarcie uroczyste woli ostatniej zmarłego, która zresztą wykonawcom testamentu znaną była.

Przez cały ten czas, otoczona najczulszem staraniem Marty i panny Jolanty, Justka w głębokim pogrążona smutku, milcząca, onieśmielona; oprócz nich nie widziała i nie przyjmowała prawie nikogo. Liczne tylko bilety, któremi ją zasypywano, rozpatrywała roztargniona, albo się modliła.

Baron Brock zdawał się mocno śmiercią przyjaciela i powinowatego dotkniętym. On także wyrzucał codzień po kilka biletów u drzwi panny Justyny, a oprócz tego zapoznał się z wykonawcami testamentu, oświadczając im, że jako daleki krewny zmarłego, czuje się w obowiązku poznać z jego interessami.

W dniu oznaczonym do otwarcia Justka przez pannę Jolantę kazała głównemu opiekunowi oznajmić, że przy czytaniu ostatniej woli przytomną być nie może.

Zebrali się wszyscy powołani.

Jak się domyślano, nieboszczyk prawie całą fortunę przekazywał przybranej wnuczce, z wy-

jątkiem legatów dla sług starych. Kodycyl niedawny summę dwóch kroć sty tysięcy złotych, jako przyjacielską pamiątkę, przeznaczał baronowi Brockowi.

Przytomny czytaniu temu, baron dziwnie się uśmiechnął i milczał aż do ukończenia odczytu.

Powstał dopiero naówczas z powagą wielką, dobył z bocznej kieszeni papier jakiś i wręczył go czytającemu.

Była to protestacya przeciwko rozporządzeniu barona, zapowiadająca akcyą sądową i upomnienie się o prawa spadkobierców naturalnych, których reprezentował Brock.

Zdumienie było ogromne, gdyż nic nie dozwalało przypuszczać podobnej zapowiedzi. Położenie protestującego, jego wpływy, znaczenie, umiejętność w prowadzeniu interessów, dla opiekunów krok ten groźnym czyniły.

Zmieszało to wszystkich, a baron, nie wdając się z nikim w rozprawy, natychmiast opuścił salę.

Postanowiono zamilczeć o tym wypadku przed panną Justyną, aby jej nie trwożyć, mając nadzieję, że wpływy pewne i perswazye skłonią Brocka do układów mniej dla Justki groźnych.

Wieść, która się po mieście rozeszła, wprawiła wszystkich w zdumienie; lecz utrzymywano powszechnie, że groźba ta była środkiem użytym

tylko do skłonienia Justki, aby ręką swą oddała baronowi.

Nie wiedząc o niczem więcej jeno o tem, że stary dziadunio cały majątek jej zapisał, spędziła sierota dni kilka i przypadek tylko zdradził zachowywaną przed nią tajemnicę.

Prawie gwałtem wdarł się, pomimo Marty, Zygmuś, w progu już występując z gorącą kondolencyą i oburzeniem, spostrzegł dopiero zdradziwszy się, że Justka o niczem nie wiedziała.

W pierwszej chwili stała osłupiała, lecz wkrótce na bladą twarzyczkę jej wystąpił rumieniec.

Poczęła od łagodnego wyrzutu przytomnej pannie Jolancie, że przed nią, jak przed dzieckiem, ukrywano to, o czem ona wiedzieć była powinna.

— Miałam zawsze przeczucie czegoś podobnego — dodała — i nic mnie krok ten ze strony barona nie dziwi, ale ja im wcześniej pomyślę o sobie, tem lepiej.

— Pani się o siebie tak bardzo troszczyć nie potrzebujesz—przerwał Zygmuś.—stronę jej biorą wszyscy, a opiekunowie zaręczają, że napastnik sprawę przegra i wstydzić się tylko będzie swojej chciwości.

— A pan sądzisz — zawołała Justka — że ja processu dopuszczę? Ja, biedna, obca sierota, com tyle, wszystko winna nieboszczykowi? Jakim

że prawem jego, choć oddalonej, rodzinie miałabym wydzierać, co jej należy? Nie, ja nie chcę nic: pójdę pracować na życie i odzyskam spokój, którego nie miałam, bom nie na swojem miejscu z łaski starego dziadunia młodość spędziła.

Zygmunt i panna Jolanta starali się ją przekonać, że małoletnia nie może nic stanowić, a opiekunowie działać będą za nią, choćby wbrew jej woli.

— A ja to wiem — dodała Justka, że majątku nie tknę. Przyjęłabym go była jako dar starego mojego dobroczyńcy, ale gdy spór ma wyniknąć— mnie się dobijać o to nie godzi. Nie! nie!

Justka chciała zaraz dom opuścić, miejsca szukać, wyrzec się nawet co jej za życia darowanem było i własność stanowiło niezaprzeczoną. Lecz Jolanta, przyjaciele, Marta naostatku potrafili wreszcie przekonać, iż pozostać powinna, i że należało czekać dalszego rozwinięcia processu i napaści—bo zdawało się, że sam Brock, postrzegłszy oburzenie powszechne, cofnąć się zechce.

Marta, Jolanta, przywołany opiekun główny, stary Radzca Dzierżycki,—potrafili ją naostatek pohamować w pierwszym zapędzie, ale nie złamali przekonania.

Justyna daleko mniej się okazywała przybitą niż się lękano. Marta ją przekonała i wmówiła w nią, że cotylko za życia jej darował baron, to

powinna była zatrzymać bez skrupułu, bo pamięci-by jego uchybiła, zrzekając się tych darów.

Już samo to, dla ubogiego dziewczęcia stanowiło zasób niemały. Oprócz wytwornych sprzętów, klejnotów, ubrań, biblioteki, miał zwyczaj dziadek na S. Justynę obdarzać ją kilku tysiącami rubli na szpilki. Justyna ich część rozdawała uboższym dziewczętom, a z porady Jolanty umieściła resztę w listach zastawnych—na nieprzewidziane potrzeby. Summa tych pozostałości, po obliczeniu jej, stanowiła kilkanaście tysięcy rubli. Było to daleko więcej niż ona potrzebowała do życia, nimby sobie jakieś gniazdo usłała.

O tę jednak summę spór trwał jeszcze, gdyż Justka jej sobie przyznawać nie chciała, czyniąc rozróżnienie między darami do życia powszedniego służącemi a pieniędzmi.

Przez cały ten dzień ona i Jolanta rozprawiały o tem, co się stało. Powoli lice dziewczynki się rozjaśniało i stosunkowo: nietylko spokojniejszą, ale niemal w końcu okazywała się wesołą.

— Kochana moja opiekunko—mówiła, ściskając p. Jolantę, która z wielką powagą swą macierzyńską odgrywała rolę—baron Brock jest moim dobroczyńcą, wrócił mi spokój, pomógł mi do powrócenia na właściwe stanowisko. Naostatek dowiem się teraz z tych moich dworaków, którzy

mnie tak natarczywie uwielbiali: ilu było spekulantów, a ilu przyjaciół?

Na pana Zygmunta rachowałam zawsze, oprócz niego wiem, że professor Dobek jest moim wiernym druhem—reszta....

Jestem wolną, kochana pani — jestem wolną! a to ma swoję cenę. Obłok kłamstw się rozproszy, ujrzę prawdę! co za szczęście!

Co przewidywała Justka, to się wistocie sprawdziło. Wiadomość o processie który wytaczał Brock, znany ze swych stosunków, ostudziła większą część starających się: powoli pierzchać zaczęli wszyscy. Pustki żałobą okryty dom zaległy.

Gdy się to działo, a opiekunowie Justyny przygotowywali bronić jej praw niezaprzeczonych, baron Brock uczynił krok do—porozumienia.

Sam osobiście stawił się do p. Radzcy Dzierżyckiego.

—Panie Radzco—rzekł, zasiadłszy w krześle—boleję nad tem, że obowiązki względem familii zmuszają mnie do postępowania, które ludzie obojętni, zdala stojący, fałszywie osądzą. Nie mogę dopuścić, aby mienie rodu rozproszyło się i przeszło w ręce obce, gdy je uratować można. Jest to wzgląd wyższy, ale dla mnie rozstrzygający. Nie mogę się bawić w sentymentalizm. Rodziny arystokratyczne upadają, ubożeją: kto może, powinien sie starać na stanowisku utrzymać.

Z mej strony jednak gotówbym uczynić ofiarę. Wprawdzie nie miałem zamiaru żenić się, jednakże choć panny pochodzenie nie odpowiada mojemu, aby rozzbroić potwarze, no—gotów jestem ożenić się z p. Justyną. W ten sposób wszystko się skończy spokojnie i bez skandalu.

Radzca nie mógł więcej nic uczynić, tylko przyjąć oświadczenie to do wiadomości i przyrzec poparcie gorące ze swej strony.

Zdaniem jego, choć postępowanie Brock'a wcale go nie zalecało z innych względów, rzecz była pożądana i nie do odrzucenia.

Wybrał się niefortunnym dziewosłębem do Justyny. Spotkawszy w salonie zdawna sobie znaną p. Jolantę, poufnie ją zapytał: co ona sądzi— jaką otrzyma odpowiedź?

— Odmówną stanowczo; to nie ulega najmniejszej wątpliwości—odparła z uśmiechem nauczycielka.—Baron nie znał chyba Justysi, pozew jej wysyłając w swaty. Dziewczę jest dumne, ceniące swobodę , nieprzywiązujące wagi do bogactwa, a baron osobiście jest dla niej najwstrętniejszym z ludzi.

— A, pani!—przerwał nieco zgorszony Radzca, który szanował w baronie jego stanowisko—jest to osobistość ze wszech miar godna i szanowana.

— Być może, ale dla kobiet, dla nas, antypaty-

czna— dokończyła Jolanta.—Siadaj pan: Justka przyjdzie natychmiast.

Stary Radzca zajął miejsce i nie tracił nadziei. Od czasu tego, co ona sama zwała swem wyswobodzeniem, to jest od chwili, gdy protest Brocka był jej wiadomym, Justka daleko się okazywała swobodniejszą i weselszą. Płakała po dziadku, wspominała go często, lecz chwilami twarzyczka się jej rozjaśniała, jakby się do życiu uśmiechając.

Radzca był uderzony tym wyrazem spokoju i pogody, jaki w niej spostrzegł. Niepodobna było jej posądzać o udawanie; cała natura i charakter odpychały to posądzenie.

Podała rączkę opiekunowi i pocałowała go w ramię.

— Przychodzę z dobrą wiadomością — rozpoczął.—Wie p. Justyna? Proces chce baron umorzyć, wszelkich pretensyi się zrzeka.

— I cóż za to?—odparła dosyć pogardliwie.

Zmieszał się Radzca.

— Pani się nie domyśla?

— Nie śmiem. Mów pan.

— Żąda tylko ręki pani.

Justka się rozśmiała.

Ale to istotnie ofiara ogromna!—rzekła szydersko. Majątku się wyrzec, a wziąć taki ciężar

nudny na siebie, taką nieznośną, jak ja, istotę? Któżby miał sumienie przyjąć taką ofiarę?

Ruszyła ramionami.

— A w dodatku—dołożyła, widząc pomieszanie Radzcy—ludzie-by jeszcze osądzili, że w ten sposób, nietylko majątek chce zagarnąć, ale żonę dostać, o którą inaczej byłoby mu trudno. Niech baron zabiera co do niego i rodziny należy, ale ja—pragnę być i pozostanę wolną.

Oświadcz mu pan wdzięczność moją niezmierną—nie czuję się godną! Nieboszczyk dziadzio powtarzał zawsze:—On może być ministrem! Proszę-ż sobie wystawić biedną taką prostą dzieweczkę, niegdyś służebną, żoną takiego dygnitarza! Co za temat do paszkwilów dla jego antagonistów!

Radzca zabrał głos; starał się nawrócić, przekonać, skłonić i nalegał na to najmocniej, żeby Justka tym sposobem spełniła najgorętsze życzenie nieboszczyka.

Spuściła oczy.

— To może być prawdą—rzekła—lecz poczciwy, dobry dziadzio nigdy mnie nie zmuszał do tego, a ja.... ah! panie Radzco, ja, nawet dla dziadka popełnić-bym nie potrafiła tego czynu upadlającego mnie—nie!

Trzeba więc było poprzestać nalegań i opiekun odszedł zasmucony. Baron, który miał niepłon-

ną nadzieję, iż heroiczną jego ofiarę przyjąć musi Justyna, został tem niepomiernie zdziwiony i oburzony.

Przechodziło to jego pojęcie.

— Państwo więc — odparł — spodziewacie się utrzymać z testamentem? a ja zaręczam wam, że choćbym miał iść do najwyższych instancyi, do ogólnego zebrania, do tronu, praw rodziny się nie zrzeknę. Koszta będą znaczne.

Radzca nic nie odpowiedział.

— Z mej strony—dołożył jeszcze Brock,—uczyniono cotylko było możliwem, aby pieniactwa uniknąć i zaspokoić wszelkie, jakiekolwiekbądź, wymagania. Umywam ręce.

Po wyjściu Radzcy Justka się rzuciła w objęcia Jolancie, zapłakana.

— I tę upokarzającą przeżyć musiałam propozycyą!—rzekła. Jakież on o mnie ma wyobrażenie!

— Powiedz: jakie daje o sobie? — odparła Jolanta. I na tem się skończyło.

Ze wszystkich, którzy się tej zimy zbliżyli więcej do Justki, p. Leon był może w położeniu najdziwniejszem. Bronił się zakochaniu, tłómaczył się przed sobą, że nie mógł, nie powinien i nie kochał się, a tymczasem szalał i chodził z gorączką w sercu.

Nawet grożące Justynie ubóstwo nie odstra-

szało go. Napisał list do matki tak niedorzeczny, tak zapalczywy, że biedna Sędzinka, odebrawszy go, przelękła się, chciała mu nakazać, aby natychmiast powracał.

Passya ta, w praktycznym i stosunkowo chłodnym Leonie, była czemś tak zadziwiającem, że matka wierzyć jej prawie nie chciała. Nie można jej było wytłómaczyć, ale—istniała i Leon chodził nieszczęśliwy, zmieszany, dobijając się do drzwi Justki. Tu go nie dopuszczano.

Na wezwanie matki nietylko się nie stawił w Baranówce, ala odpisał w sposób tak gwałtowny, iż Sędzinka—gdyby nie gospodarstwo—gotową była sama jechać po niego. Tymczasem jednak pod błogosławieństwem nakazała powrót, ale, że nie oznaczyła terminu, Leon mógł go zwlekać. Tak był rozdrażniony i rozgorączkowany, że się ważył list napisać do Justki, ale ten panna Jolanta, wraz z innemi, przejęła i zniszczyła, bo była przez nią o to proszona.

Daleko praktyczniejszym od tego sławionego z praktyczności młodzieńca okazał się p. Aureli. Ubolewał on nad losem pięknej Justyny, ale sobie winszował, że się nie oświadczył jej, a nawet z naiwną otwartością powtarzał to przyjaciołom.

Ponieważ Leon się przed nim nie taił ze swą namiętnością—i z gotowością do ożenienia—Aureli niemal tryumfował nad nim, z tem większą

lekkością mówiąc o staraniach, o zalotach i o pannie Justynie nawet — tak, że z Leonem przyszło do cierpkich przemówek i rodzaju—kłótni.

Ze swych dawnych wielbicieli panna Justyna teraz nie przyjmowała i nie widywała nikogo, oprócz Zygmunta i professora Dobka. Co nadal zamierzała poczynać—nie było postanowionem. Zdania się wielce różniły. Panna Jolanta odradzała poświęcenie się nauczycielstwu, dawanie lekcyi, zakładanie szkółki, do czego Justka najwięcej miała skłonności.

Zygmunt radził rozpatrzenie się, cierpliwość, wyczekiwanie, a opiekun i większość przyjaciół byli tego zdania, iż trzeba będzie czekać końca processu, który, pomimo wpływów barona, musiał, ich zdaniem, wypaść na korzyść Justyny.

Ile razy mowa o tem była, dziewczę z gwałtownością wielką protestowało.

— Państwo więc mnie nie rozumiecie — zawołała Justyna.—Jak tylko jest proces, jest ktoś, co się o ten majątek upomina i może jakiekolwiek do niego prawo wykazać: ja ustępuję dobrowolnie, ja nie chcę nic—i, gdybym nawet wygrała sprawę, ofiary dziadunia przyjąć mi się nie godzi. On czynił ją w dobrej wierze, biedny stary, niewiedząc może, iż rodową majętnością rozporządzać nie ma prawa. Nie chcę, aby to miał na sumieniu! Urodziłam się ubogą, cudem odebra-

łam wychowanie; zostawił mi zasób na rozpoczęcie pracy: dlaczegóżbym ja nie miała o własnej sile iść dalej?

W kilka dni potem, gdy w saloniku nie było nikogo prócz niej, Jolanty i Zygmunta, Justyna spytała nagle przyjaciela:

— Pan, co wszystko wiesz, powiedz mi, czy na założenie, naprzykład, magazynu lub czegoś podobnego—wielkiego potrzeba kapitału?

Zygmuś podskoczył do góry.

— Tego tylko brakło, ażeby pannie Justynie przyszła myśl założyć jaki magazyn. Z jej wykształceniem, wychowaniem, nauką....

Jolanta silnie też zaprotestowała.

Justyna słuchała cierpliwie.

— Zdaje mi się, że państwo nie macie słuszności—rzekła.—Mając uczucie piękna i smak, a sumienie w dodatku, w tym zawodzie użyteczną być można; a on dałby niezależność, której stan nauczycielski nie przynosi.

Pan Zygmunt począł w to bić, iż modystka musi schlebiać płochym instynktom, musi się posługiwać reklamami, a p. Justyna do tego usposobioną nie była.

Napadnięto na nią za pomysł tak niedorzeczny.

— Ale przecież ja coś robić muszę! — odparła zimno. — Mam trochę grosza, o którym mówicie, że go sumiennie zatrzymać mogę: dlaczegobym

go nie miała użyć na jaki warsztat, zakład, skład co chcecie.

—I pani z tym ideałem w duszy!—zawołał Zygmunt.

— Doskonale mogę być szwaczką!—rozśmiała się Justyna.—Nie godzę się z tymi, którzy nie umieją prozaicznej pracy dla chleba pogodzić z miłością poezyi. Mnie się zdaje, że ta proza godzi się doskonale z ideałem i nie pozwala, ażeby człowiek nie stał się istotą bezsilną i nieszczęśliwą.

W pracy takiej jest przeciwwaga potrzebna i zdrowa.

Nie chciano słuchać jej rozumowania; zahuczała ją Jolanta, połajał p. Zygmunt: zamilkła, lecz widać było, że jej nie przekonano.

— Co do mnie—odezwała się Jolanta—zapowiadam, że temu niedorzecznemu projektowi, kaprysowi raczej, całą siłą mojego wpływu opierać się będę. Pięknie-bym wyszła, żebym po hrabiankach i księżniczkach, którem wychowywała, miała się chlubić wychowanicą modniarką!

— Ale toby była profanacya ducha! — wołał Zygmunt, to nie będzie, to być nie może.

Justyna milczała.

Następnych dni, niespokojny, Zygmunt, czując, że nie była przekonaną i że ta myśl pracy bardzo trywialnej, powszedniej, tkwiła w niej, sam o tem

rozpoczął rozmowę. Justka podniosła ku niemu swe wielkie, wyraziste oczy, jakby błagając, potem wysłuchała fantastycznych jego wywodów, iż duch ostyga, umysł rdzewieje, człowiek dziczeje przy pracy bezmyślnej, odpowiedziała mu krótko:

— Pan mnie nie zrozumiałeś.

W chwilę potem, o czem innem mówiąc, Justka powtórzyła Zygmuntowi od niego samego słyszane wyrazy, że pierwszym jest obowiązkiem człowieka zdobyć sobie niezależność i nie wystawiać się na niebezpieczną walkę z nędzą przez pychę; że każdą pracę uczciwą, cel, myśl jej uszlachetnia.

Zygmunt usiłował rozróżnić kobietę od mężczyzny w stanowieniu o losie, w wyborze położenia, ale go Justka zbiła z łatwością

— Nie chcesz pan przyznać, że ja mam słuszność—dokończyła.—Ja w moich własnych oczach więcej będę warta, wyczekując processu i spadku. a zostając choćby skromną modystką—niżeli gdybym się wydartym komuś majątkiem chlubić miała.

Ukłoniła mu się nizko.

— Ale dlaczegóż pani wybierasz sobie stan czy powołanie, tak osławione modystki?—zapytał Zygmunt.

— Bo do innego nie czuję się uzdolnioną bez

nowicyatu. Poradź mi pan coinnego! Rękawicznictwo? szycie bielizny? no—szukaj.

— Wszystko to należy do tej kategoryi, która dla p. Justyny nie powinna. nie może być stosowną—zawołał przyjaciel.—Niech mnie pani nie wyśmiewa jako sofistę, ale ją pani powiem, że postąpiłabyś bez sumienia, tak, bez sumienia, obierając ten. nie wiem, stan czy powołanie?

Wie pani dlaczego? bo p. Justyna ma tysiąc środków rozwiązania zagadki życia—a są biedne dziewczęta, które mają tę jednę i jedyną tylko drogę. Pani więc im odbierzesz chleba kawałek?

Rozśmiał się, rad z rozumowania.

Justyna się skrzywiła.

— Mylisz się pan—rzekła—ja nie mam innego środka wyjścia z tego zawikłania, prócz pracy. Do żadnej innej nie poczuwam się zdolną.

Spuściła główkę.

— Jest to skromność — odparł dokuczliwy Zygmunt,—nie gniewaj się pani. skromność, która kryje dumę: chcesz pani być najznakomitszą z modystek, a lękasz się w innem powołaniu współzawodnictwa.

— Mogłabym się za takie posądzenie pogniewać, doprawdy — odezwała się Justka — bo nie wiem czy mi pan możesz próżność zarzucić —ale— przebaczam. Wistocie nie chciałabym stać w ostatnim rzędzie, gdy mogę w jednym z pierwszych.

Dodam na moje uniewinnienie. że, jako modyst-

ka, mogę choć w małych rozmiarach wpływać na to, aby słuszna chęć ustrojenia się dla pociechy ludzi, nie przechodziła w marnotrawstwo i umiała się połączyć z prostotą i powagą.

Z tego powołania moralizatorskiego modystek p. Jolanta i Zygmunt tak się poczęli wyśmiewać, że Justka, sama rozśmieszona, umilkła.

Czas tak uchodził w położeniu dosyć dla sieroty przykrem. Dom był zamknięty, ona czuła się przedmiotem rozbudzonej ciekawości, więcej niż sympatyi; proces obiecywał się ciągnąć bardzo długo. Co miała począć? Ta tymczasowość nużyła ją i męczyła widocznie.

Po kilkakroć zaklinała Radzcę-opiekuna, aby jej pozwolił się wyrzec testamentu; odpowiadano jej, że do tego nie miała prawa.

Wyjechać na wieś nie dozwalało jakieś uczucie przyzwoitości, bo się lękała posądzenia, że obejmuje te posiadłości, których los nie był jeszcze rozstrzygnięty.

Twarzyczka jej, na jakiś czas rozjaśniona, poczęła się znowu okrywać wyrazem smutku. Chudła, mizerniała, chodziła zasmucona. Muzyka stała się jej obojętną, książki brała i rzucała, nie rozumiejąc co czytała.

— Raz potrzeba temu jakiś koniec położyć!— odezwała się do Zygmunta, ale on do tych wyrazów zbytniej wagi nie przywiązywał.

Pan Zygmunt siedział zrana w swojem, bardzo skromnem, mieszkanku kawalerskiem, przy śniadaniu, składającem się z filiżanki kawy i bułki, przerzucając przyniesioną mu gazetę, gdy zastukano do drzwi i, rzadki bardzo gość u niego, ukazał się posłaniec z kartką. O adresie p. Zygmunta mało kto był uwiadomiony; list dla niego stanowił niespodziankę. Wstał żywo, aby się przekonać, czy nie przez omyłkę go tu przyniesiono.

Na bilecie poznał mało sobie znaną, ale ogromnemi rozmiarami pochyłych liter, odznaczającą się rękę p. Jolanty, która do niego nigdy nie pisywała.

Przestraszył się, bo mu na myśl przyszła zaraz Justyna.

Posłaniec nie potrzebował odpowiedzi; na bilecie było skreślone: aby przybył natychmiast w interesie bardzo pilnym.

Nie było wątpliwości: coś zaszło ważnego w tym domu! Zygmunt zerwał się natychmiast,

począł się ubierać, gdy jeszcze niezamknięte drzwi dały widzieć nadbiegającego Leona.

Zbliżył się on od pewnego czasu do p. Zygmunta, jedynie dlatego, aby od niego się coś dowiedzieć o Justce.

Wpadł do pokoiku pośpiesznie, zadyszany i nim się przywitał—zawołał:

— Pan już pewnie wiesz!

— O czem?—zapytał Zygmunt.

— Panna Justyna od wczoraj wieczora znikła.

Osłupiał Zygmuś.

— Co pan mówisz!—ofuknął go—jak to może być! Ja tam byłem wczoraj.

— A dziś rano wszyscy potrwożeni, p. Jolanta i Radzca rozbiegli się jej szukać. Wyszła do kościoła na nieszpory i nie powróciła. Mówią o zostawionym liście do p. Jolanty, ale mnie tam nie dopuszczono.

Z zaciśniętemi ustami stał Zygmunt na środku pokoiku, zmieszany i milczący.

— Pierwszy raz o tem słyszę—rzekł, starając się pohamować—ale oto właśnie odebrałem wezwanie Jolanty, abym tam przybył: spieszno mi ubrać się i iść.

Leon zrozumiał, iż to znaczyło, ażeby dał mu się ubrać; miął rękawiczkę niespokojnie.

— Pozwolisz mi pan — wyjąknął — p. Justyna mnie mocno obchodzi. Chciałbym się coś dowie-

dzieć, mogę być też użytecznym. Gdziebym pana spotkał?

— Nic nie wiem, nic postanowić i przyrzec nie mogę—odrzekł gwałtownie Zygmunt.—Przebacz pan—głowę tracę.

Leon po chwili zmuszonym był opuścić poddasze; wyszedł zrozpaczony. W kwadrans potem toczył się ze wschodów Zygmuś, jak lawina, spadając na dół, i siadłszy do pierwszej lepszej dorożki, kazał jechać do domu barona.

Jolanta, zapłakana, w szlafroczku rannym, bez loków, co jej twarz niezmiernie zmieniło, przyjęła Zygmusia na progu.

— Uciekła!—zawołała—uciekła!

Patrz! czytaj pan! niewdzięczna, nieopatrzna! Jak ona sobie da na świecie radę i co ją czeka?

To mówiąc, panna Jolanta podała mu ćwiartkę papieru, zapisaną ręką Justysi.

„Moja droga opiekunko, przyjaciele moi—nie gniewajcie się na mnie, nie potępiajcie! Dzikie stworzenie, nie daję się spętać, wyrywam się z więzów, uciekam, idę, nie wiem dokąd? gdzie mnie przeznaczenie woła. Nie mogłabym dłużej wytrzymać wyczekiwania, niepewności, bezczynności; idę—abym w ciszy gdzieś pracowała. Nie lękajcie się o mnie; w pieszczonej wnuczce dziadunia, siedziała zamknięta dzika siostrzenica gumiennego.

„Nie chcieli mi pozwolić, abym postąpiła według mojej myśli, a ja czuję, że powinnam iść za nią o własnej sile. Nie szukajcie mnie, proszę, nie gońcie; bądźcie spokojni, zgłoszę się później“.

Oprócz listu do Jolanty był drugi, zimniejszy, ale tożsamo powtarzający. do opiekuna. Justyna w nim nanowo wyrzekała się spadku, prosiła, aby baron Brock wszystko zabrał, a jej tylko to zatrzymać dozwolił, co miała z daru staruszka za jego życia. Upewniała opiekuna, że wstydzić się jej nigdy nie będzie potrzebował, i że oddala się tylko, aby zająć się pracą.

Panna Jolanta przekonała się zaraz po odkryciu ucieczki, że Justka swoje papiery i pieniądze zabrała wszystkie, rzeczy—bardzo mało. Prosiła, aby jej to zachowano aż do zgłoszenia się, a wrazie zbyt długiego niezgłaszania się—sprzedano wszystko, oprócz pamiątek.

Jolanta, czytając, słuchając, ręce łamała i płakała. Zygmunt, zasępiony, rozmarzony, dowodził, że niepodobieństwem będzie Justce tak się skryć, aby oni jej nie wyszukali.

— Znajdziemy ją, musimy znaleść; ja jestem gotów temu się poświęcić, użyję wszystkich środków. Nie mogła pozostać w Warszawie, ale dokąd-że dla pracy udać się miała? Do jednego z większych miast? Przetrzęsiemy je z kolei. Za granicę?—nie wyjechała.

Nauczycielka i opiekunka, lękając się, aby ten wybryk, fałszywie tłómaczony, sławie biednego dziewczęcia nie szkodził—pragnęła utaić ucieczkę, ale nie było sposobu ani nawet myśleć o tem. Wiadomość odrana się już była rozeszła, a że miała w sobie coś tajemniczego, pociągającego, rozniesiono ją z kommentarzami po mieście. Nie brakło, naturalnie, takich, które z ucieczką panny mieszały jakiegoś tajemniczego młodzieńca i całej przygodzie nadawały charakter skandalicznego wypadku.

Ludziom pospolitym trudno było wyłożyć, dlaczego dziewczę, chcąc pracować, musiało się wyswobodzić i uciekać.

Szczęściem, nie udało się nikomu tak ubarwić tej potwarzy, aby ona, dla znających Justynę, przybrała pozór prawdopodobieństwa.

Po długiej naradzie z p. Jolantą, uspokoiwszy ją, oile zdołał, Zygmuś wyszedł, aby rozpocząć poszukiwania, lecz do nich brakło nawet punktu wyjścia.

Wiedziano, że wieczorem z książką do nabożeństwa wyszła wrzekomo do kościoła. To było wszystko.

Na kilka dni przedtem, pod pozorem darów dla ubogich, wynosiła rozmaite zawiniątka z domu; lecz, że się to nie poraz pierwszy przytrafiało, nikt na to nie zwracał uwagi.

Wychodzącemu, na dole, przed domem, zastąpił drogę p. Leon, ofiarując się do posług, jeżeli były potrzebne.

— Staraj się pan wyszukać najmniejszy ślad kierunku podróży, drogi. celu: uczynisz tem przysługę wielką—odparł Zygmunt—Ja z mojej strony, natychmiast przedsiębiorę poszukiwania. W domu niema żadnej wiadomości, ani śladu dokąd się udać mogła.

— Sama?—zapytał niespokojnie Leon.

—Tak się zdaje—rzekł, żegnając go Zygmunt.—Czyń pan ze swej strony co uznasz właściwem. a ja—żegnam, bo we dwu nic poczynać nie umiem.

Zygmunt, obyty z miastem, dosyć przebiegły, natychmiast począł od śledzenia, czy nie wzięto pasportu. Okazało się, że wistocie przed paru tygodniami na imię Justyny wydany był roczny, do Rossyi i zagraniczny do Niemiec. To nie mówiło nic.

Tyle pociągów wychodziło wieczorem, iż domyśleć się, którego użyła p. Justyna, było trudno, a wreszcie niepewność zostawała, czy się koleją wybrała. Na wszelki przypadek p. Zygmunt poszedł po kassach pytać o młodą osobę w żałobie; ale to, jak się domyślić łatwo, nie doprowadziło Zygmunta do niczego.

Ze znajomości większej lub mniejszej kraju nic

wnosić się nie dawało, gdyż p. Justyna wogóle znała go bardzo mało.

Musiała sobie zapewne wyszukać towarzyszkę jakąś, lecz na tej trop wpaść Zygmunt nie umiał. Dzień cały niezmordowanie pracował, wiedząc, że po dniach kilku ślady się zatrą, a poszukiwanie stanie się trudniejszem; ale bardzo późno, zgłodniały i zmęczony, gdy zastukał do drzwi p. Jolanty—bo ta go zaklęła, aby jej dał wiedzieć o sobie—musiał się przyznać, iż nic a nic nie potrafił zdobyć.

Z ostatnich rozmów z Justyną, które usilnie sobie starała się przypomnieć Jolanta i Zygmunt, z rozpytywań o rozmaite kraju strony i miasta, nic się nie dawało wywnioskować, chociaż do pewnego czasu badała nawet p. Zygmunta o różne znaczniejsze miasta Królestwa i Cesarstwa.

— Drżę, myśląc—wołała zapłakana nauczycielka.—Pełna ufności w ludziach, nieopatrzna, da się obedrzeć, straci wszystko, zamęczy się i zginie lub powróci złamana! Widzę z przerażeniem, że zabrała z sobą wszystko co miała! — do grosza. Sprzedaż jej ruchomości, choć także coś uczynić może, już straty nie wynagrodzi.

Zygmunt był także tego zdania, że zwycięzko wyjść z tej próby, przy niedoświadczeniu, młodości i szlachetności Justysi, nie było podobna.

Pan Leon ze swojej strony zapalczywie śledził

dzień cały, chodził, pytał, posyłał i nazajutrz rano przyszedł do Zygmunta ze smutnem wyznaniem, iż nie znalazł najmniejszego śladu.

Był zrozpaczony.

Radzca urzędownie wystąpił nie z większem szczęściem; poszukiwania na tej drodze nie mogły przynieść nic.

Dla wszystkich przyjaciół dziewczęcia był to cios niewypowiedzianie bolesny; może tylko jeden baron Brock ręce zacierał i tryumfował, dowodząc, że w tem wszystkiem krył się romansik, który tłómaczył właśnie, dlaczego jego, barona, wspaniałomyślna ofiara nie była przyjętą.

Tymczasem proces krokiem powolnym szedł swoją drogą.

W jednem z tych miast prowincyonalnych, niezbyt odległych od granic Królestwa, które dopiero w ostatnim czasie żywiej cokolwiek rozwijać się i podnosić zaczęły, na głównej ulicy stanowiącej arteryą, którą krążyły soki żywotne stolicy gubernialnej, w dosyć czystym i pokaźnym domu o pięciu oknach, którego dół zajmowały dwa niepokaźne sklepy, u balkonu pierwszego piętra—błyszczała tablica, dwujęzykowym napisem opatrzona, a zwiastująca Magazyn mód i ubiorów, skład kwiatów i piór.

Imię właścicielki było widocznie pseudonymem i brzmiało tylko: „Jadwiga“.

Na dole sklepy były dosyć czyste, ale niepokaźne, wejście przez główne drzwi na pierwsze piętro uderzało kontrastem. gdyż urządzone było z widocznem staraniem o wdzięk i elegancyą, oile na nie miejscowe stosunki zdobyć się dozwalały.

Podłogę sieni przerzynał dywanik, który rozściełał się dalej po wschodach. Ładne dwie lam-

py z globusami przyświecały u wnijścia wieczorem; nawet poręcz wschodów, wytworność na prowincyi niesłychana—okryta była pluszem.

Nad drzwiami pierwszego piętra tablica nie dozwalała się omylić, wskazując magazyn p. Jadwigi.

Niekażdego dnia w mieście, nie nazbyt ożywionem, słychać tu było i widać ruch i życie, lecz niekiedy sklepy umieszczone na dole, z których ziewający wyglądali kommissanci, zazdrościły magazynowi na pierwszem piętrze, do którego zajeżdżały powozy, zachodziły panie, przychodzili posłańcy, a poczta przynosiła niezliczone listy i przesyłki.

Magazyn pani Jadwigi, młodej wdowy, cieszył się od lat trzech nadzwyczajnem powodzeniem, tak, że berdyczowskie modniarki zazdrościły mu i przypisywały to szczęście, nie istotnej wyższości zakładu, ale wdziękom i zalotności właścicielki.

Chodziły o niej wieści najrozmaitsze, ale z nich to jedno było pewnem i nieulegającem wątpliwości, że pani z pseudonymem Jadwigi była osobą wykształconą bardzo, mówiącą kilku językami, muzykalną. Pocichu jedni twierdzili, że to była artystka jakiegoś teatru, której się deski sprzykrzyły, drudzy domyślali się gorzej.

W czasie pobytu swojego w mieście młodziuchna i bardzo piękna wdowa, pomimo zajęcia ja-

kie obudziła w kołach urzędników i majętniejszych obywateli, zachowywała się tak skromnie i z taką surowością i niemal pedanteryą, że tu o niej nic nikt powiedzieć nie mógł, oprócz, że była niedostępną.

Panie, które do magazynu, po tych pochwałach przybywały z niedowierzaniem, wychodziły z niego zdumione, szepcząc:

— W tem jest jakaś tajemnica!

Tajemnicy domyślali się zgodnie wszyscy, lecz nikt odkryć jej nie mógł, chociaż przez lat trzy się o to starano. To, z czem człowiek się tai, zawsze prawie zaszczytu mu nie przynosi, zatem, i w tej przeszłości ciemnej p. Jadwigi domyślano się strasznych dramatów i niepięknych przygód.

Tymczasem postępowanie posądzanej kłam zadawało widoczny tym wymysłom. Żyła bardzo osamotniona, pracując, nie zawiązując stosunków, unikając ich nawet, zabawiając się muzyką i czytaniem. Gdy ją w miejskie towarzystwa wciągać usiłowano, tłómaczyła się zajęciem wielkiem a małem zdrowiem. Nie bywała nigdzie, tylko w kościele i czasem na prz echadzkach, ze starą jejmością, prostą a dobrą kobieciną, którą sobie przybrała—karmiła i poiła ją, aby nie być zupełnie samą. Młodzież rozmaitemi sposobami usiłowała się zbliżyć do pięknej młodej wdowy, lecz

Justyna umiała temu zawsze zapobiegać w samych początkach.

Panie ze wsi, majętniejszych rodzin, które szerszy świat znały, umiały ocenić p. Jadwigę, nazywały ją „une personne très comme il faut“, zdawały się na jej smak, podziwiały skromne rachunki, a najmocniej intrygował je tu fortepian, nuty i nowe książki.

Modystka z takiemi upodobaniami, niewymagająca, niedroga, skromna, zdobywała ich serca. Nie śmiały się z nią spoufalać bliżej, ale niejedna, zmuszona w salonie czekać dłużej, przerzucała książki, przepatrywała nuty, wydobywała albumy i—zdumiewała się, nic nie rozumiejąc.

Nie było już potem mowy o artystce na reformie; zaczęto się domyślać jakiejś nieszczęśliwej, znacznego domu i dobrego urodzenia kobiety, w tej nieznajomej. Zyskiwała sobie sympatye, oświadczano się jej z niemi, chciano podzielać jej cierpienia; ale ona uśmiechała się swobodnie i zapewniała, że ze swego położenia była kontenta i na życie się skarżyć nie miała prawa.

Wistocie, interessa magazynu szły bardzo dobrze. W pierwszym roku zbyt był mały, nikt zakładu nie znał; powoli rozszerzało się koło osób znajomych; jedni polecali drugim i klientella panny Jadwigi, szczególniej po prowincyach sąsiednich, daleko się rozpowszechniła. Niektóre panie parę

dni spędzały w mieście, większą ich część trawiąc w salonie modystki, aby mieć przyjemność mówić z nią i spędzić kilka godzin w jej towarzystwie.

Po upływie tych pierwszych lat nowicyatu można już było sądzić, że p. Jadwiga pozostanie tu nazawsze, a kilku urzędników, domyślając się zamożności, miało na widoku staranie się o jej rękę, gdy zaszły niespodziane okoliczności. Z dalszych stron na karnawał przybyły w okolice syn p. Sędziny Karandaszewskiej z Baranówki, p. Leon, któremu matka starzejąca się zalecała ożenek, znalazł tu z łatwością przystojną i dosyć dobrze wychowaną panienkę, która po najdłuższem życiu rodziców miała dostać piękną wioskę wołyńską, słynącą ze swej pszenicy.

Panna bardzo ładną nie była, ale rodzicielski majątek prześliczny, a dziewczę mogło się podobać z wesołego charakteru, uprzejmości w obejściu i pewnej naiwności, dosyć oryginalnej.

Pan Leon, który był przekonany, że matka mu nie wydzieli majątku, dopóki się nie ożeni, znudzony żywotem kawalerskim, znajdując panienkę sympatyczną, wioskę wcale dobrą, rodziców sobie przychylnych, oświadczył się i został przyjętym; a że wyprawa była od dwóch lat na zapas gotową i zwlekać nie miano powodu, ślub się odbył, państwo młodzi wyjechali do Szwajcaryi, ale tyl-

ko saskiej, i, powróciwszy, przybywali teraz do rodziców, a tu sąsiedztwo z kolei dawało bale, wieczory i obiady na przyjęcie ich.

Pani Jadwiga miała więc wiele do czynienia i musiała nieustannie z Warszawy sprowadzać nowe zapasy kwiatów, wstążek i t. p.

Młoda p. Leonowa, ponieważ zawczasu i sposobem ekonomicznym miała sobie przygotowaną wyprawę przez zabiegliwą mamę, bardzo niewiele z magazynu p. Jadwigi potrzebowała. Jakkolwiek taniem tu było wszystko, matka p. Leonowej, osoba niesłychanie wyrachowana i oszczędna, utrzymywała, że w tem coś jest, że ta p. Jadwiga albo na gatunkach lub na robocie oszukiwać musi! Wolała więc targować się do upadłego gdzieindziej i może właśnie targ był dla niej siłą przyciągającą.

Obchodzono się więc bez tej nowej podejrzanej modystki i nie zaglądano tutaj.

Po powrocie z wycieczki do Szwajcaryi, przybywszy z młodą żoną, p. Leon na te wszystkie przyjęcia sąsiadów nie mógł toaletami wystarczyć: wypadła potrzeba przerobienia czegoś; a że p. Leonowa czuła się niedysponowaną, wyprawiła więc męża z obstalunkiem. W miodowych miesiącach mąż każdy takich usług chętnie się podejmuje. Pan Leon pojechał do miasteczka, odszukał

magazyn p. Jadwigi, zadzwonił do drzwi i został wpuszczonym.

Wprowadziła go starsza panna, Celestyna, do saloniku i poprosiła, aby chwileczkę poczekał na gospodynię. Pan Leon z podziwieniem się tu rozglądał jeszcze, gdy drzwi się otwarły i w nich ukazała się panna Jadwiga. Na widok p. Leona zrazu się, przestraszona, cofnęła, potem chwilę postawszy, niepewna co ma począć, weszła krokiem powolnym i poważnym do salonu.

Leon stał ze zdumieniem na twarzy niewypowiedzianem, milczący; nie chciał wierzyć oczom: w osobie p. Jadwigi poznał ową Justkę, o której chodziły teraz opowiadania, że, według wszelkiego podobieństwa, nie żyła już.

Utrzymywano, że w ucieczce zachorowała i w małej mieścinie gdzieś zmarła, pod cudzem się ukrywszy nazwiskiem. Jakaś zapewne wcale inna nieszczęśliwa dola posłużyła do zmyślenia tej baśni.

Leon z początku słowa długo nie mógł przemówić.

— Być-że to może!—zawołał w końcu—pani tu!

Justka, poważny wyraz twarzy nadała.

— Panie Leonie — rzekła — spodziewam się po dawnej jego życzliwości, iż mnie nie zdradzisz. Jestem tu spokojną; jest mi dobrze, pracuję— świat o mnie zapomniał.

Dawne uczucie odezwało się w Leonie, który odparł wzruszony:

— Zastosuję się do woli jej, lecz pozwól pani powiedzieć sobie, iż przyjaciele mają prawo mieć żal wielki do niej; porzuciłaś pani nas, nie wiedząc nawet, że los jej żywo nas będzie niepokoić i obchodzić!

Cośmy się nabiegali, naszukali, a p. Jolanta ile wylała łez! Długo spodziewano się powrotu.

Justka spuściła oczy.

— Lepiej nie mówmy o tej przeszłości — odezwała się—usiłowałam o niej zapomnieć, choć nie raz mi się serce ściskało.

Pan się ożeniłeś?—dodała.

— Tak jest—odparł Leon kwaśno—matka moja wymagała tego po mnie.

— Nie wiesz pan co się z innymi mymi znajomymi i przyjaciołmi stało?—spytała.

— Jakto? pani nie masz wiadomości o ich losach?

— Żadnej!—szepnęła Justka.

—Więc najpierw powinienem pani oznajmić najważniejszą nowinę. Baron Brock zmarł rok temu, a z nim umarł proces wytoczony pani, którego nikt prowadzić dalej nie myśli. Jesteś pani dziedziczką po dziadku i tymczasowo opiekunowie zarządzają majątkami, czekając, aż panią wyszukać zdołają.

Justka zbladła nieco i westchnęła.

— Wiesz pan to z pewnością?—zapytała.

— Z największą w świecie—rzekł Leon, i zdaje mi się, że pani teraz obowiązaną jesteś przyjąć dar człowieka, który tak ją kochał. Jeżeli dla siebie nie potrzebujesz fortuny, możesz pani tak wiele nią uczynić dobrego!

Justka nie odpowiadała i nagle, podniósłszy głowę—rzekła:

— Ale pan przybyłeś tu wysłany przez żonę; masz pewnie polecenie pilne: korzystajmyż z czasu; chodź pan do pracowni. Potrzebujesz co wybrać?

Leon już był o wszystkiem w świecie zapomniał, patrząc na swą dawną miłość. Ona, choć z ust jego dowiedziała się o tak ważnej zmianie, która ją miała przenieść ztąd w świat nowy. wydawała się tak obojętną. jakby ją to bynajmniej nie obchodziło.

Zmusiła Leona, aby opowiedział z czem przybył, zrobiła wybór sama, dała polecenia w pracowni, a gościa zaprosiła napowrót do salonu.

— Pani tu przecie pozostać nie możesz!—zawołał Leon, wchodząc—byłoby to grzechem nie do darowania i dziwactwem nie do wytłómaczenia. Wątpię bowiem, abyś się pani miała tak zakochać w swem powołaniu, iżby ono wszystko dla niej mogło zastąpić.

— Mówmy o znajomych i przyjaciołach—przerwała, niechcąc na pytanie odpowiedzieć, Justka—a naprzód p. Jolanta?

— Oile wiem, chociaż zmniejszono dwór i zredukowano mieszkanie do skromniejszych rozmiarów, opiekun oczekuje zawsze na powrót pani, niechcąc dać wiary w rozsiane wieści. Nieustanne ogłoszenia wzywają panią do powrotu. Czyż nie spotkałaś się pani z żadnem?

— Gazet naszych nie czytałam umyślnie, postanowiwszy zerwać z przeszłością—rzekła Justka. — Cieszę się, że stare sługi nie rozproszyły się, a ... (tu się zawahała) znajomi moi dalsi?

Zdawało się Justce, iż imion Leon powinien się był domyśleć. Jakoż wistocie sama zazdrość na usta jego nasunęła Zygmunta.

— Sądzę—rzekł—iż p. Zygmunt panią obchodzić będzie. Jest to od czasu, gdy pani tam zabrakło, najnieszczęśliwszy z ludzi. Zestarzał się, skwaśniał, stał się w towarzystwie nieznośnym, szorstkim, pełnym goryczy. Ludzie uciekają od niego. Zdaje się, że nieszczególnie też mu się powodzić musi, bo bardzo ubogo koło niego.

Wspomniał potem Leon o sąsiedzie Aurelim, który majątek matki już dojadał, posag siostry zmarnotrawił i, żył nie myśląc o jutrze, gdy biedna Porochowa łzami się zalewała, ledwie mogąc się od wierzycieli obronić. Była mowa o sprzedaży

Zdunowa z wolnej ręki, aby cokolwiek dla biednej matki ocalić, która chciała się przenieść do miasteczka. O wydaniu za mąż panienki mowy już nie było.

Innych także znajomych i przyjaciół losy, oile były p. Leonowi znane, w niewielu zarysach odmalował gość słuchającej z natężoną uwagą Justce. Lecz, jakkolwiek zdawało się to niewiele zabierać czasu, ani się spostrzegł, gdy dnia znaczna część upłynęła, a pracownice pani Jadwigi nie mogły się wydziwić temu, iż tak długo z tym nieznajomym przesiadywała.

Wstał wreszcie Leon, spójrzawszy na zegarek, a gospodyni, podając mu rękę, szepnęła, iż zaklina go i prosi, aby o niej ani mówił, ani pisał i donosił.

—Co pocznę, sama nie wiem jeszcze—dodała—ale nie życzyłabym sobie rozgłosu; muszę się namyśleć.

— Pozwolisz mi pani się odwiedzić jeszcze?—zapytał Leon.

Justka się zlekka zarumieniła.

— Z tym warunkiem, ażebyś pan do mnie przybył jak do modystki.... nic więcej. Przyniosłeś mi pan niepokój do mojego cichego zakątka.

— Nie ja! znowu los tylko — odparł Leon—przyjechałem po stroik na głowę.

Rozśmiał się z jakąś goryczą. Mimowolnie na

wschodach idącemu przyszło na myśl porównanie młodej swej, miłej i dobrej, ale niebardzo wykształconej żony, z tą kobietą, z którą i on byłby może wyżej mógł wzlecieć.

— A teraz — rzekł w duchu— jestem skazany na wiekuistego hreczkosieja.

Co się działo z Justką po oddaleniu się gościa, wychodziło tak z ram jej powszedniego życia, że panny nie umiały sobie wytłómaczyć jej postępowania i—naturalnie, odwiedzinom p. Leona przypisano te skutki nadzwyczajne.

Justka, zdawszy roboty na starszą swą pomocnicę, sama się zamknęła w sypialni i cały czas tam do wieczora spędziła.

Gdy naostatek klękła do codziennych pacierzy, chociaż łzy miała na oczach, duch jej wywalczył już w sobie spokój, czoło było wypogodzone: panowała nad sobą.

Przyszła nazajutrz do pracowni, jak zwykle; lecz, pomimo wysiłku, aby dzień miniony nie pozostawił po sobie śladu, panienki spostrzegły, że była bledszą, smutniejszą i nieco roztargnioną.

Leon zaś, z powrotem do rodziców żony, choć dawszy słowo, że Justki nie wyda, nie mówił ani o jej przeszłości, ani się przyznał, że ją widywał w Warszawie, zdradził się tylko żywem zajęciem p. Jadwigą i rozpytywaniem o nią.

Posypały się ze wszech stron różne informa-

cye najsprzeczniejsze, z ktorych cześć wywołała uśmiech na twarz p. Leona.

Matka jego żony, między innemi, tłómacząc się dlaczego jej nie używała, utrzymywała, że to była furfant jejmość zpod ciemnej gwiazdy, ale umiejąca tak ludziom wmówić co chciała, że u niej i taniej i lepiej wszystko znaleźć mogą niż gdzieindziej; gdy tymczasem oszukaństwo to było na wielką skalę.

Leon bronić się nie ośmielił.

Zdania i opowieści innych przekonać go mogły, że owa *vox populi* w wielu rzeczach nic w sobie boskiego nie ma, lecz jest tylko spotęgowaną złośliwością ludzką.

Niektóre z tych najpewniejszych informacyi pobudzały go do śmiechu, któremu oprzeć się nie mógł.

— Gdybym ja wyprawę twojej żony u niej robiła—zakończyła matka p. Leonowej,— dopierobyście dobrze wyszli na tem, bo u niej wszystko przegniłe, zbutwiałe, tandeta; ale umie tak osmaczyć, wmówić, iż sprzeda za najlepsze. I, mówcie sobie co chcecie, wy co tak jej gust chwalicie: ja znajduję, że ona żadnego nie ma.

Ruszyła ramionami; potępienie było bez apellacyi.

Jak tylko mógł, nie wzbudzając podejrzenia, p. Leon się wybrał do miasta, niezmiernie cieka-

wy dowiedzieć się: co Justka po odebraniu tak ważnej wiadomości postanowiła?

Korciło go wielce dać znać biednemu Zygmuntowi, nad którym miał politowanie; lecz słowo dane nie pozwalało.

Wciągu dni kilku Justka musiała bić się z myślami i osnuwać różne plany, gdyż i domowi znajdowali ją zmienioną i Leon spostrzegł że pobladła i posmutniała.

Przywitała go nieco zmieszana i wprowadziła do saloniku. Rozmowa z trudnością się mogła zawiązać. Na pierwsze pytanie Justka odparła:

— Nic jeszcze nie postanowiłam. Tak mi tu było dobrze, spokojnie, a los mój zdawał się zapewnionym na przyszłość tak bezpiecznie, że mi żal się ztąd ruszyć—i po co?

— Odpowiem pani jej własnemi, dawniej często powtarzanemi wyrazami: — żyje się dla drugich. Będziesz pani miała środki do czynienia wiele dobrego: dlaczego się wahać?

— Bo dobrze czynić nie łatwo—poczęło dziewczę poważnie. — Żyć dla siebie potrafi każdy, dla ludzi, nawet z najlepszemi chęciami, można czasem nieść puszkę Pandory. Potrzeba wielkiej zarozumiałości, aby sobie pochlebiać, iż się użytecznym być potrafi.

— Przesadzone—kochana pani — odparł Leon,

niewdając się w rozumowania.—Krótko mówiąc: powracasz pani do Warszawy?

Justyna się uśmiechnęła.

— Wiesz pan, że w przeznaczeniu mojem jest zewsząd uciekać! — odezwała się po chwili — zatem chcę mu być posłuszną.

Zniżyła głos.

— Zostawię mój magazyn i przekażę go pomocnicy, bardzo dobrej panience, która go po mnie odziedziczy niespodziewanie. Ja.... (ruszyła ramionami)—znowu będę musiała uciekać.

Wiesz pan gdzie mieszka Jolanta i moja stara Marta?

— W tymsamym domu—odparł Leon—z tą różnicą, że zajmują tylko połowę dawnego lokalu.

Justkę zdawało się to radować.

— Żal mi będzie tego spokojnego kąta, dla którego ja byłam zagadką—rzekła. Nie spodziewam się, ażebym po sobie złą pamięć pozostawiła, lecz niewątpliwie dwuznaczną; a ucieczka jej nie naprawi.

— Czy i teraz jeszcze jestem do zachowania tajemnicy obowiązanym? — zapytał Leon, mający na myśli Zygmunta.

— Do jak najściślejszej!—szybko odpowiedziała Justyna.—Długo tu państwo bawicie jeszcze?

— Matka mnie powołuje do Baranówki, za dni kilka powracamy. Sądzę, że i sąsiedztwo będzie

temu rade, bo znużone być musi przyjmowaniem nas—spocznie.

Rozstali się po chwili z sobą, i p. Leon wymówił sobie pozwolenie odwiedzenia panny Justyny w Warszawie.

Panny pracujące w magazynie, od pierwszej bytności p. Leona mające go w podejrzeniu, gdy teraz zniknął, utrzymywały wszystkie, iż pani ich niezmiernie się zmieniła, że coś zaszło ważnego, co na jej humor i postępowanie wpłynęło. Znajdowano ją inną.

Oświadczyła później starszej swej pannie, że będzie musiała kilkodniową podróż odbyć. Nie było to nowością, bo raz czy dwa jeździła do Kijowa i Berdyczowa, lecz tymrazem nie mówiła dokąd się uda, ani jak zabawi długo.

Starała się jednak tej, która ją miała tu zastąpić, wpoić pewne prawidła postępowania, i z tego wnoszono, że nieobecność przeciągnie się może dłużej.

Jednego dnia niespodziewanie, z małemi pakunkami, pożegnawszy swe pracownice, uściskawszy zastępczynię, ze łzami w oczach, Justka opuściła miasto.

W kilka dni później list nadszedł do starszej panny, aby objęła zarząd magazynu i starała się prowadzić go tak, jak dotąd był administrowany; „Nie wiem jak długo niebytność moja przeciągnąć

się może,—pisała do niej—proszę, abyś rządziła tak, jakbyś była panią jedyną, a radzę, abyś jak najmniej zmieniała, bo się nam wiodło dobrze i szczęśliwie. Później dam znać o sobie, ale proszę być spokojną. Wrazie potrzeby o radę i pomoc udasz się do adwokata P., któremu cię poleciłam.“

Wbiło to w dumę starszą pannę.

W mieście zniknięcie Jadwigi obfitego do przypuszczeń dostarczyło materyału.

Pan Zygmunt Nabrzeski, który za najlepszych czasów wiódł życie napół osłonięte. nie lubiąc aby w nie zaglądano, utrzymując się z pracy, do której się nie przyznawał, przechodząc od jednej do drugiej, naprzemiany ukazując się w salonach, do których mu urodzenie i wychowanie dawały prawo, a potem znikając z oczów i tułając się po zakątkach, z których wycierania chlubić się nie mógł — pan Zygmunt po zniknięciu Justki, do której był przywiązany, choć nie zmysłowie, ale namiętnie, zdawało się, że stracił głowę, ochotę do życia i wszelka energią. Zaniedbywał się, dopiero ostateczna potrzeba zmuszała go wziąć się do czego, z niechęcią i wstrętem. Szydził, urągał wszystkim nielitościwie. Stał się nieprzyjemnym w towarzystwie, opryskliwym, nieznośnym.

Postarzał na twarzy, zaniedbał się w ubraniu, pozrywał stosunki i zachował te tylko, które mu nieodzownie były potrzebne do zarabiania na

chleb, ale i w tych tak mało sobie zaskarbiał względów, tak był nieugłaskanym, dziwacznym, iż gdyby nie nadzwyczajne zdolności i trudność zastąpienia go, niktby pewnie posługiwać się nim nie chciał.

Ale odznaczał się tem, że widział prędzej i jaśniej niż drudzy, że pracował szybko, i że na jego dyskrecyą. słowo, uczciwość można było rachować z pewnością.

Miał on swych chlebodawców, którzy się nim nie chlubiąc, nie przyznając do niego, dawali mu prace potajemnie, a potem się z nią, jak z własną, nosili, na co on pogardliwie się uśmiechał.

Nikt nigdy nie wiedział, gdzie go szukać, ani co robił. Ponieważ te najemnicze prace były mu po większej części wstrętliwe, więc gdy jedna z nich przyniosła mu tyle, aby czas jakiś mógł odpoczywać—nie podejmował się nowych—próżnował, jadł, pił, nie oszczędzał wcale, bawił się, tracił, stroił, a gdy się środki wyczerpały, zmuszony, szedł pod jarzmo.

Wiedział on sam. że to było marnowaniem życia i do niczego nie prowadziło—lecz tak nie wierzył w to, ażeby się mógł czegoś dobić, tak nie dbał o swą przyszłość, że z obojętnością cyniczną, wlókł się bezmyślnie tą drogą, Miał przytem czasem fantazye, które drogo kosztowały.

Bankier B. polecił mu napisanie memoryału w sprawie zawikłanej, która wymagała długich studyów przygotowawczych; kilka miesięcy, potrzeba było strawić na to poszukiwanie materyałów. Cena pracy była umówioną i wynosiła stosunkowo niewiele, ale w miarę tego, jak się opłacają literackie i naukowe roboty, była jednak dosyć znaczną. Zygmunt z nadzwyczajną pilnością i starannością wygotował memoryał. Było tego kilkadziesiąt arkuszy. Odniósłszy do przejrzenia bankierowi, w kilka dni przyszedł do niego, potrzebując pieniędzy.

Obejście się jego z tymi panami, którzy się talentem i nauką posługiwali, było wcale nie uniżone i nie pokorne. Stawał z nimi na stopie poufałości i równości, co niektórych oburzało.

Memoryał leżał właśnie na biurku bankiera, gdy Zygmunt wszedł do jego kancellaryi. Przywitanie było z jednej strony uprzejme, z drugiej szorstkie.

— Potrzebuję pieniędzy — rzekł — przejrzałeś pan memoryał?

— Tak jest i muszę przyznać, że przeszedł moje oczekiwania — odparł słodko bankier— tylko, kochany panie, niespełna trzydzieści arkuszy—i tysiąc rubli!

Zygmunt się zarumienił i usta mu się ścisnęły, ściągnęły.

— Cena była umówiona—rzekł zimno.

— Sądziłem, że będzie obszerniejszy — odparł bankier—siedmset pięćdziesiąt....

Nie miał czasu dokończyć, kiedy Zygmunt, memoryał swój wziąwszy z biurka, nic nie mówiąc, zwinął go, poszedł do kominka, na którym płonął ogień wielki, i rzuciwszy go tak, aby wyrwać nie było można, nie spojrzawszy na bankiera, nie pożegnawszy go, świszcząc, wyszedł z pokoju. Od tej chwili znać go nie chciał. Bankier był wściekły.

Podobnych przygód więcej sobie opowiadano; i nie dziw, że choć praca jego była wielce pożądaną każdemu, obawiano się człowieka. Zygmunt, nie gardząc małemi zajęciami, a dla siebie nie potrzebując wiele, miał z czego żyć, nie robiąc długów, a często jeszcze dzieląc się z biedniejszemi. Bardzo majętna rodzina, kolligaci należący do świata arystokratycznego, wstydzili się tego, na proletaryusza dobrowolnie zeszłego kuzyna, który cynicznie się ze swem ubóstwem popisywał; chciano go żenić, ofiarowywano wygody i rezydencyą, ale on, śmiejąc się, odrzucał.

— Za piernik się nie sprzedam, choćby był pozłacany—odpowiadał.

Mieszkał naówczas p. Zygmunt na Dziekance, w domu wcale niepokaźnym, w dwu pokoikach tak nędznych i zaniedbanych, że ci, co przypad-

kiem do niego zachodzili, nie mogli się wydziwić obojętności, z jaką znosił to ubóstwo. Utrzymywali niektórzy, iż dla oryginalności się tak opuszczał. Gdy mu się lepiej działo. to jest, gdy miał więcej pieniędzy, jadał po najlepszych restauracyach i był niezmiernie wybrednym: w dniach niedostatku żywił się po kątach, wybierając tylko takie potrawy, któreby nie obudzały wstrętu i nie szkodziły zdrowiu. Jadł prędko, jakby z musu, niewiele, i uciekał potem coprędzej z brudnej restauracyi. Jeśli nie miał roboty, siadywał po bibliotekach albo przedsiębrał długie, nużące przechadzki za miasto.

Zrana, jednego dnia, gdy miał właśnie o rozporządzeniu godzinami jego coś postanowić, zastukano do drzwi i posłaniec publiczny podał mu karteczkę.

Zygmunt, wziąwszy ją obojętnie do rąk, poznał charakter, bardzo się odznaczający, panny Jolanty, która do niego teraz prawie się nigdy nie zgłaszała.

Wspomnienie Justki, związane ze starą jej nauczycielką, Justki, którą wspominając, zawsze wzdychał i smutniał — sprawiło, że list otworzył prędko. Stało w nim tylko zagadkowych słów kilka.

Panna Jolanta prosiła Zygmunta, aby do dawnej znajomej i przyjaciółki, o której zapomniał

zupełnie, przez litość nad jej osamotnieniem, przyszedł wieczorem na herbatę.

Ani słówka więcej.

Ponieważ od kilku miesięcy p. Jolanta wcale się nie dowiadywała do niego, odezwa ta naprowadziła go na domysł, iż może miała jaką o Justce wiadomość. Tem chętniej więc postanowił ją odwiedzić. Nie wybrał się już za miasto, według pierwszej swej myśli, i cały dzień spędził bez celu przechadzając się po ulicach, a myśląc ciągle prawie o tej przyjaciółce, której mu tak brakło, iż całe życie jego czczem mu się i niezapełnionem wydawało.

Dzień niesłychanie mu się zdał długim; nareszcie o zmierzchu pośpieszył do znajomego domu, który mu tyle chwil szczęśliwych, spędzonych tu, przypominał.

W przedpokoju, zwykle pustym, zdziwiło go dwóch lokai, zajętych przygotowaniami jakiemiś i rozmawiających bardzo wesoło.

Wpuszczono go do saloniku, a naprzeciw niemu wyszła, z dziwnie rozjaśnioną i wypogodzoną twarzą, p. Jolanta.

— Przecież pan byłeś łaskaw sobie przypomnieć, że żyję—rzekła z uśmiechem, i, mam nadzieję, że tego żałować nie będziesz.

To mówiąc, spoglądała ku drzwiom otwartym drugiego pokoju. Zygmunt się jeszcze nie zebrał

na odpowiedź, gdy w nich ukazała się, jak widmo niespodziane—Justka.

Krzyknął i rzucił się ku niej.

Powitanie było braterskie, serdeczne, lecz po wymianie zaledwie pierwszych wyrazów Zygmunt się nie mógł powstrzymać od gorzkich wymówek.

— Trzeba mi przebaczyć—uśmiechając się, odparła Justyna—mam widać we krwi tę skłonność do ucieczki.

— Cóż się z panią działo! Jak daleko i dokąd ją ta fantazya zaprowadziła?

— Nie opuszczałam kraju, nie wyniosłam się daleko — odpowiedziała Justyna — a myśl moję przyprowadziłam do skutku. Założyłam magazyn, byłam prostą modystką, ubierałam kapelusze, szyłam suknie, służyłam pokornie mojej klientelli, i działo mi się dobrze.

— A towarzystwo?—spytał Zygmunt.

— Zastępowały je książki i fortepian—mówiła Justka.—Wprawdzie w początkach mój sposób życia, odmienny od tego, jaki prowadzą tego powołania panie, obudzał ciekawość, podziwienie i domysły, ale się oswojono i gdym stanowczo drzwi zamknęła, nie dobijano się do nich.

Musiała Justka opowiadać szczegółowo o tem życiu swem, w którem zamiast wypadków, były uczucia, myśli i walka z sobą samą Przyznała

się do tego, że niejeden raz tęsknota ją ogarniała, tak, iż chciała rzucić wszystko, powrócić do Warszawy, ale miała tyle mocy nad sobą, iż się potrafiła przezwyciężyć.

— A jakimże sposobem teraz?

Justka, nie dając mu dokończyć pytania— opowiedziała spotkanie swe z Leonem. Gdyby nie on, lata-by może upłynęły, a nie byłabym wróciła, nie wiedząc, jaki obrót sprawa wzięła.

— Tak tedy my p. Leonowi zawdzięczamy, żeśmy panią odzyskali!—zawołał Zygmunt wesoło. Wiele mu za to przebaczyć należy, nawet to, że śmiał się w pani zakochać—on!

— A pan co przez ten czas porabiałeś?—wtrąciła, chcąc dalszą o sobie rozmowę przerwać, Justyna, której sama powierzchowność Zygmunta powiadała dostatecznie, iż wciągu tych lat nie podniósł się, nie pokrzepił, ale upadł na duchu i stracił na energii.

— Ja?—odparł Zygmunt—ja?—odpowiedź bardzo trudna. Żyłem bez celu, bez myśli, z dnia na dzień, i dlatego tylko może nie dopuściłem się samobójstwa, że koniec i tak sam przez się przyjść musi, a życie, choćby własne, jest ciekawą tkaniną bałamuctw i nielogiczności.

— Nie rozumiem tego — odpowiedziała Justyna — ażeby człowiek, który tak zdrowo sądzi

o wszystkiem, mógł (przepraszam) postępować sobie tak niedołężnie.

— Jedno, co mnie tłómaczyć może — wtrącił Zygmunt, to młodość moja, której pani nie jest znaną; ona zatarła i zwichnęła całą przyszłość.

— Nie, pan chorujesz na brak woli—odpowiedziała Justyna.

— Bo nie wiem, czego chcieć i czy jest coś, coby wartem było gorącego pożądania.

Zygmunt zamilkł nagle.

— Mówmy nie o mnie. Cóż pani poczniesz teraz?—zawołał gwałtownie po chwili. Należy się jej wypoczynek, swoboda. Na miejscu jej — naprzód-bym wyjechał gdzieś, piękną naturą się napawać—Włochy. Szwajcarya...

Justyna potrząsała główką.

— Nie kuś mnie pan i nie bałamuć—rzekła— naprzód potrzeba poznać własne położenie, obowiązki, stosunki, a dopiero.

Zygmunt się począł śmiać.

— Ale to są rzeczy niesłychanie proste—odezwał się — jesteś pani majętną, będziesz miała tłumy przyjaciół, armie wielbicieli, pułki pretendentów, potrzebujesz się tylko opędzać — nic więcej.

Miałaś pani już w życiu sposobność przekonać się, iż nic tak nie przyciąga ludzi, jak szczęście, nic ich tak nie rozprasza, jak niedola. Ci co wczo-

raj padali na twarz, jutro nieszczęśliwego znać nie będą w obawie, aby od nich jakiej nie potrzebował ofiary. Wiekuistej prawdy tej nic nie zmieni. Jutro otoczą panią dworacy pomyślności: strzeż się tylko, aby jej kadzidłem nie upoili.

— Czyż możesz się pan tego dla mnie obawiać?—zapytała Justka.—Pan?

Zygmunt popatrzył na nią.

— Nie, nie obawiam się; boś pani przeszła przez szkołę ciężkiego doświadczenia — rzekł— ale człowiek jest człowiekiem: musi sam siebie strzedz, aby natura jego, aby instynkta jej zwierzęce nie zwichnęły ducha.

— Na to mieć będę pana na straży—zawołała Justka, patrząc na niego: będziesz moim cenzorem i mentorem.

Nizko się skłonił Zygmunt, ale na twarzy jego znać było pomieszanie.

— Wszystko to—odezwał się—najdziwaczniej się składa. Trzeba było, ażebyś pani powróciła w chwili, gdy ja postanowiłem kraj opuścić.

Justka pobiegła ku niemu, jakby strwożona.

— Pan! opuścić kraj? i cóż to ma znaczyć? — zawołała żywo.

— Jest to ostateczność, do której mnie zmusza nieubłagana konieczność mojego położenia. Pokazuje się, że dla mnie tu niema miejsca ani zajęcia odpowiedniego.

Dla jednych jestem, jak utrzymują, zbyt rozumny. dla drugich—zbyt niezręczny i niezgrabny. Przeszłość moja i nazwisko krępują do pewnego stopnia, aby mnie nie nudzono nieustannie, że żydom szlacheckie imię sprzedaję i w ich służbę się zaprzęgam.

Za granicą jestem bez przeszłości. więc swobodnym.

— Ale to być nie może! — przerwała Justyna.—Za granicę! i dokądże? Jeżeli u nas pełno, tam przepełnienie większe jest jeszcze. W Ameryce silne ręce są pożądane—ale nic więcej.

Zygmunt spójrzał na swoje delikatne i chude palce, potrząsł głową i nie odpowiedział nic.

— Nieszczęściem mojem—dodał po chwili—że ja, jak większość młodzieży naszej, jestem tak usposobiony do wszystkiego. iż ostatecznie do niczego nie jestem zdatny.

Justynie rozmowa ta zaczynała być przykrą.

— Proszę-ż pana— rzekła — zamiast mnie, powracającą, rozweselić, ośmielić, rozerwać, poczynasz od tego, że we dwoje lamentujemy. Nie masz pan nic wesołego?

— Ale, wesołe rzeczy świata tego — przerwał Zygmunt— są właśnie najsmutniejsze. Człowiek który się śmieje... zazdroszczę mu, ale go mam za waryata.

— Panie Zygmuncie!

W mgnieniu oka ten błagalny głos wywołał w nim niespodzianą zmianę.

— A! — rzekł — co za dziwne przeznaczenie, ażeby żonaty p. Leon na progu małżeńskiego żywota spotkał panią! Los czasem bywa pełen ironii złośliwej, nieprawdaż?

Justyna nie odpowiedziała.

— Widujesz pan professora Dobka? — zapytała—ten naiwny, poczciwy kwiatek.... co się z nim dzieje?

— Nic pani nie wiesz?—zapytał Zygmunt.

— Wszakże dopiero przybywam.

— Dobek ożenił się, jak p. Leon, ale los mu nastręczył związek niezmiernie praktyczny. Żona jego jest jedynaczką u bogatego aptekarza: obejmie więc oficynę Eskulapa, będzie miał sposobność widywania się z kwiatkami, choćby suchemi; a że apteka każda, dzięki głupocie ludzkiej i wierze w leki, jest źródłem dochodów niewyczerpanem—można być pewnym, iż chleba powszedniego mieć będzie podostatkiem.

— No—a żona?

Zygmunt spuścił oczy i długo patrzył na końce swych mocno już znoszonych butów.

— Żona?—rzekł — wychowana jak najstaranniej, panienka miła i umysłu wykształconego, ale, niełądna! Jedno ramię trochę niższe. Serce za to—anielskie.

Justyna się uśmiechnęła.

— Spodziewam się, że Dobek ją kocha, mimo tego ramienia—dodała.

— Ba! Dobek, począwszy od pokrzywy aż do swoich nieprzyjaciół, kocha wszystko i wszystkich,—rzekł Zygmunt—nie potrzebuje nawet wysiłku, aby dokazać tej sztuki: jego naturą jest: kochać i przygarniać.

— Spodziewam się, że pan mi go co najprędzej z żoną razem przyprowadzisz, albo—poprawiła się Justyna zaraz — mnie do nich: tak będzie właściwiej.

Kłaniał się Zygmunt.

— Zostajesz pani w Warszawie?—zapytał.

— Nic jeszcze nie wiem—rozśmiała się Justyna—nie mogłam przyjść do siebie, muszę się z nowem położeniem oswoić. Ilerazy kto drzwi otworzy, zdaje mi się jeszcze, że powinnam wybiedz, ukłonić się i spytać:—co rozkaże? Brak mi gałganków, któremi zabawiałam palce, nie trudząc myśli.

Wieczór dopóźna zeszedł na takiej łamanej rozmowie.

Justyna rozweselała się chwilami, opowiadała swe przygody z małego miasteczka, postacie, jakie tam spotykała; zdziwienie, które wywoływało zajęcie się literaturą i muzyką, posądzenia, na jakie była wystawioną.

Dawniej, za czasów dziadunia, salon jej był zwykle miejscem schadzki dla literatów i artystów, zjawiały się w nim naprzód wszelkie nowości, roztrząsano je, oceniano i Zygmunt był jednym z tych, którzy najgoręcej się zaprzątali ruchem umysłowym. Gdy Justyna spytała go teraz, stęskniona za słowem żywem: coby zajmowało ludzi, jaki był kierunek?—podniósł oczy, poruszył ramionami i odparł:

— Zupełnie zaniedbałem to pole; oile wiem, papieru zapisuje się i zadrukowuje obficie, każdy pracuje dla siebie i byle sam się podniósł lub miał co jeść, czy kogo obchodzi przyszłość i wyższe cele—wątpię.

— Trzeba się uciec do tych pięknych słów Brodzińskiego—odparła Justyna—które zapewniają, że każdy według sił swych pracować powinien, i zesłanego mu natchnienia — a całość sama się złoży.

—Niezawodnie—rzekł z uśmiechem Zygmunt—bo człowiek nawet, gdy nie wie co czyni, posłusznym jest prawu.

Panna Jolanta w czasie tych rozpraw ziewała trochę i w końcu uznała potrzebę wmieszania się do rozmowy, przynosząc do niej treść lżejszą. Nie rozweseliło to Zygmunta, który nadto długo poił się goryczą, aby tak nagle mógł otrząsnąć

się z kilkoletniego nałogu szyderstwa i sceptycyzmu.

Po wyjściu jego Justyna długo stała zamyślona i smutna.

— Żal mi go bardzo—rzekła—był to jedyny człowiek, dla którego żywszą czułam sympatyą. Co za biedna, przedwczesna ruina!

To, co przepowiałał Zygmunt i co było nieuniknionem, ziściło się w bardzo prędkim czasie. Zaledwie się dowiedziano o zjawieniu się p. Justyny, dziedziczki niewątpliwej już fortuny po baronie, nie bardzo pytano: dlaczego zniknęła, co się z nią działo?—zbiegli się wszyscy znowu, wynosząc ją pod niebiosa.

Zgadzano się na to, że była istotą fenomenalną, wyjątkową, której pewne excentryczności charakteru potrzeba było przebaczyć.

Po jednej zjawiały się szanowne matrony, obarczone synami nieożenionymi dotąd, młodzieńcy wielkich nadziei, karnawałowi tancerze z dawniejszych lat—wszyscy przyjaciele owi, którzy w czasie niebytności i niepewności dwuznacznie się odzywali o p. Justynie.

W tem dworowaniu cynicznem fortunie jest coś tak upadlającego człowieka, iż z niechęcią przychodzi mówić o niem. Lecz niema wyjątków prawie, a człowiek który szanuje niedolę i szuka jej, aby przyszedł w pomoc, odwracając się

od zwyciężców, dla których nie ma szacunku—jest nad wszystko rzadkiem zjawiskiem.

Justyna nie mogła ani drzwi zamknąć przybywającym, ani okazać wzgardy. Przyjmowała grzecznie a zimno, czasem tylko niepokojąc ich opowiadaniem jakiem, które wprawiało w zakłopotanie.

Dowiadywano się mocno, czy będzie przyjmowała, z utęsknieniem wspominając o miłych godzinach spędzonych w jej domu.

— Baron mój kochany potrzebował roztargnienia, ludzi, życia—odpowiadała—teraz ja sama jedna, smutna, nie mam najmniejszej ochoty do szukania w rozrywkach zajęcia. Zdaje mi się, że życie na wsi właściwszem dla mnie będzie.

Ubolewano nad tem, a wszyscy się polecali pamięci i zapisywali w regestr sług najwierniejszych.

Niektóre z matek zamyślały zwolna rozpoczynać oblężenie.

Po pierwszych odwiedzinach pan Zygmunt nie przyszedł przez dwa dni; posłano go prosić na obiad. Zjawił się, zmieszany jakiś, nieswój i zakłopotany.

— Cóż się dzieję, ze ja pana tak mało widuję?—zapytała Justyna.

Spójrzał na nią dziwnie.

— Lękam się, abyś pani, widując mnie częściej,

nie zraziła się ostatecznie. Jestem sam dla siebie tak wstrętliwym.

— Panie Zygmuncie!—zawołała Justyna.

Gość zamilkł i dokończył żarcikiem.

Upłynęło parę miesięcy, w czasie których nic się nie odmieniło. Justyna tylko znacznie posmutniała. Jednego dnia a raczej wieczora, Jolanta, której zdradził się Zygmunt z godziną swej przechadzki po Saskim Ogrodzie, niespodziewanie go tu spotkała.

— Chodź pan ze mną usiąść na ławce— rzekła do niego—chcę z panem pomówić.

Nie bez pewnego ociągania się Zygmunt poszedł posłuszny.

— Jestem zmuszoną — odezwała się Jolanta, siadając i napastliwie przybliżając się do towarzysza—jestem zmuszoną dziwną i niemiłą mi rolę odegrać, ale miłość moja dla Justyny....

Czy pan tego nie widzisz, że ona go kocha?

Zygmunt się porwał z ławki.

— Panna Justyna? Mnie! na miłość Bożą— ale to nie może być, a gdyby na nieszczęście uczucie jakie istniało, pani powinnaś z obowiązku sumienia wytłómaczyć jej, że ona się tak poniżać nie powinna. Ja jestem samotną ruiną, ona świecznikiem: zatrułaby sobie życie, a mnie przyprowadziła do rozpaczy, bo czuję, że ja p. Justyny szczęśliwą uczynić-bym nie potrafił.

— Pan jej nie kochasz!—zawołała, ręce łamiąc Jolanta.

Zygmunt spojrzeniem ją przeszył.

— Właśnie dlatego, że ją kocham do szaleństwa, godnym się jej nie czuję—rzekł—a nie chcę korzystać z jakiejś chwili sympatyi, po której musiałoby okrutne nastąpić rozczarowanie. Ona mnie nie zna! pani mnie nie znasz! Ja jestem złamanem życiem—kaleką!

Słowa te, wymówione z rozpaczą, przejęły pannę Jolantę—obejrzała się dokoła.

— Siadaj pan — rzekła ciszej — ludzie na nas patrzeć zaczynają. Nadto żyłeś, byś nie wiedział, iż miłość nie rozumuje.

—Wierz mi pani,—wtrącił, jakby niesłuchając jej Zygmunt—jestem wprawdzie upadłym, ale mi zostało sumienie.

Ta biedna p. Justyna łudzi się, widzi we mnie więcej, niż jest i niż nawet w najszczęśliwszych okolicznościach być kiedy mogło! Byłbym oszukańcem, gdybym chciał z tego korzystać; byłoby to nieuczciwością—podłością—nikczemnością.

To mówiąc, Zygmunt, zapalczywie pięści ścisnąwszy, przyłożył je do czoła, a że ten ruch wzbudzał ciekawość i ludzie zaczynali się oglądać na nich, p. Jolanta musiała go prosić aby się poskromił i uspokoił.

Zygmunt siadł przy niej na ławce.

— To jest obowiązkiem pani—rzekł—otworzyć jej oczy. Ona warta czegoś lepszego, nie takiego ze śmiecia wydobytego pulcinella.... niech czeka, niech się rozpatrzy, znajdzie go, ale siebie poświęcić dla mnie—bo to jest poświęcenie—na to pozwolić nie mogę.

— Pozwól mi pan mówić zkolei,—odezwała się wysłuchawszy go Jolanta. Samo to co teraz z takim zapałem wygłosiłeś przeciwko sobie, jest najlepszym dowodem szlachetności jego charakteru: więc nie jesteś wcale tak moralnie upadłym, za jakiego chcesz uchodzić. We własnych oczach, wymagając od siebie zbyt wiele, nie licząc się z warunkami, możesz się widzieć dalekim od swojego ideału, ale ludziom wolno go sprawiedliwiej oceniać.

Justka ma dla was sympatyą, przywiązała się, potrzebuje was dla szczęścia; chcieć ją odciągnąć, ostudzić, byłoby próżnem. Serca nie bierze się argumentami, a pan przyrzekłeś sobie jej serce. Nie poniżaj się, staraj się podnieść.

Zimno skłonił się Zygmunt i potrząsnął głową:

— Dziękuję pani — rzekł — ale słowo jeszcze, czy Justka wie, czy się domyśla, że pani ze mną o tem mówić miałaś.

— Nie!—odparła żywo Jolanta—ale łatwo pojmujesz, że na taki krok nie ważyłabym się, gdybym nie miała pewności, iż serce jej zrozumia-

łam. Niema ona tajemnic dla mnie, a nigdy mocniej niż teraz po jej powrocie nie byłam przekonaną, że Justyna rachuje na pana i że jej do szczęścia jesteś potrzebnym. Nie czujesz się godnym — jak powiadasz — utrzymujesz, że ona się łudzi i myli: więc zamiast uciekać i kryć się, daj się jej poznać lepiej, bliżej, całkowicie—rozczaruj ją.

Ja tego tylko wymagam od pana. Uchodząc, drażnisz ją. Sądzi, żeś dumny, unikasz jej, abyś nie był posądzonym o interessowność.

Zygmunt wysłuchał cierpliwie danej mu nauki.

— Mam więc bywać?—zapytał.

— Mnie się to zdaje obowiązkiem—odparła Jolanta—zyskałeś jej sympatyą, przyjaźń, serce, nie godzi się z tego czynić igraszki i poświęcać fantazyi jakiejś.

Dnia następnego p. Zygmunt, wierny słowu, stawił się w saloniku p. Justyny i długie zaniedbanie wizyt wytłómaczył pilnemi i przykremi zajęciami. Na twarzy gospodyni widać było radość i ożywienie. Połajała go łagodnie. Zygmunt trochę się rozchmurzył i zapomniał o swych troskach. Kilka godzin przeszły niepostrzeżone, a gdy z Jolantą pozostały same, Justyny humor zmieniony przekonał ją, iż wcale się nie omyliła, znajdując Zygmunta potrzebnym dla szczęścia wychowanicy.

Wielu młodszych, napozór daleko może milszych w towarzystwie, wykształconych paniczów, nadskakujących Justynie, bawili ją chwilowo, ale żaden trwalszego na umyśle jej nie czynił wrażenia, może dlatego, że od nich wszystkich, nawet wcale nie będąc zarozumiałą, czuła się wyższą.

Zygmunt, który tak siebie lekceważył, dla niej był wyrocznią, jego słuchała z poszanowaniem.

Już miał odchodzić tego wieczora i trzymał kapelusz w ręku, gdy Justyna, zbliżywszy się, szepnęła zapytanie:

— Kiedy się zobaczymy?

Zygmunt podniósł wzrok ku niej.

— Masz pan wistocie tak pilne zajęcia, że mi nawet paru godzin poświęcić nie możesz? — spytała.

— Ale — przerwał Zygmunt — gdy ja tu nieustannie będę przebywał, cóż ludzie pomyślą?

— Czy pan się tego lękasz? — spytała, śmiejąc się.

— Odpędzę od pani milszych niż jestem i potrzebniejszych—mówił Zygmunt—a na mnie spadnie podejrzenie, iż w głowie mi się przewróciło.

— O mnie pan możesz nie myśleć, bo ja czuwam nad sobą—odezwała się Justyna poważnie—a panu, doprawdy, nie wiem co szkodzić może, iż jesteś moim przyjacielem. Ja wymagam od niego tego dowodu przyjaźni.

Zygmunt pożegnał się, nie odpowiadając, ale wzruszony mocno.

Zaraz po wyjściu jego Justka zwróciła się do Jolanty.

— Powinnaś mi być pomocą w nawróceniu pana Zygmunta — rzekła smutnie.— Jest to jedyny człowiek, w którego charakterze mam zaufanie, a dla niego sympatyą, tymczasem on ucieka widocznie ode mnie.

— Nic dziwnego — szepnęła Jolanta— biedny, ubogi, dziwak, nie czuje się godnym ciebie, więc nie chce się rozmarzać—boś,...

Justyna ruszyła ramionami.

— Więc ja się o niego starać będę musiała!— dodała pocichu. Potrzeba go koniecznie dźwignąć, ośmielić.

—Nie wiem czy ci się to uda. Jest dumny—rzekła Jolanta—o tobie ma bardzo wysokie wyobrażenie, o sobie za nizkie.

— Jestem w położeniu bardzo niemiłem—dokończyła Justyna, a drugiego takiego Zygmunta nie znajdę.

— Staraj-że mu się tak głowę zawrócić — rozśmiała się Jolanta — aby o dumie zapomniał i uwierzył w to, że podnieść się może.

Rozmowa, ta zbliżając Jolantę do wychowanicy, nie pozostała bez następstw. Justyna sama nie mogła nic począć; z pomocą starej przyjaciół-

ki starała się wniknąć w tajemnice bytu młodego przyjaciela.

Niepokoiło ją to, że się ukrywał z zajęciami swemi, i nie tłómaczył z trybu życia, jaki prowadził.

Panna Jolanta, dla wyśledzenia prawdy, udała się do Radzcy opiekuna, przed którym nie taiła, że Zygmunt mocno obchodził Justynę.

Zmarszczył czoło stary, nawykły do jawnego i uporządkowanego trybu życia opiekun.

— Zły to wybór — rzekł — chociaż człowieka potępiać nie można. Będę się starał dowiedzieć bliżej szczegółów, ale już dziś powiedzieć mogę, że jest fantasta, że się rzuca nie mając cierpliwości, na różne drogi i środki zarobkowania. Panna Justyna warta jest i znaleźć może kogoś godniejszego sobie.

— Mój Radzco! ten jej się podobał—westchnęła Jolanta — sercu rozkazać niepodobna. Ona ma dosyć mocy charakteru, aby nawet zwichniętego życiem, wprowadzić na lepszą drogę.

Westchnął staruszek.

— Nieszczęście to—rzekł—że kobiety najczęściej sympatyą mają dla podobnych jemu, trochę robaczywych owoców.

Gorliwie poszedł Radzca na zwiady, ale troskliwe, drobnostkowe poszukiwania nie dozwoliły mu nic odkryć, coby charakterowi Zygmunta

uwłaczało. Fantazya tylko, duma i miłość niezależności w każdym były widoczne kroku.

Zdał raport p. Jolancie, donosząc, że Zygmunt powiększej części w biurach bankierów, przy kolejach pracował nad projektami; podejmował się zresztą najróżnorodniejszych zajęć i zawsze wychodził z nich zwycięzko, ale dumą i szorstkością zrażał od siebie. Ci, co mu dostarczali roboty i płacili, wymagali pewnej grzeczności, ukorzenia się, uległości, a Zygmunt obchodził się z nimi dumnie i szydersko i oprócz tego ani się dawał z sobą targować, ani, głodem mrąc, za lichą zapłatę niczego się nie podejmował.

W ostateczności chyba uciekano się do niego. Radzca przyznawał zresztą, że nikt na Zygmunta z innych względów skarżyć się nie miał prawa.

— Położenie jego jest najprzykrzejsze w świecie,—dodał—i wiem iż oddawna skazany jest już na suchoty, a kredytu nie lubiąc — obchodzi się ściśle tem, co zaledwie życie utrzymać dozwala.

— Daj mu pan robotę — szepnęła Jolanta.— Uczynisz tem przysługę Justynie.

Rad nie rad, Radca obiecał o tem pomyśleć.

Tajemne te starania Jolanty nie wielki miałyby skutek, gdyby p. Justyna nie zajęła się sama Zygmuntem. Z każdą bytnością wymagała słowa i obietnicy kiedy powróci? Zadawała mu do spełnienia polecenia; czasem, niespodzianie wśród

dnia powoływała go i zatrzymywała na obiad lub herbatę.

Zygmunt z początku bronił się chłodem, sztywnością, szyderstwem, opierał się coraz większej poufałości. trzymał na wodzy, lecz silnej woli i urokowi Justysi wkońcu nie było sposobu się obronić. Nieznacznie, powoli uginał się, stawał coraz posłuszniejszym, — zapominał o nadzorze nad sobą—i powiedział sobie w końcu:

— To przechodzi siły moje!

Jednakże dziwny ten romans, byłby się albo przedłużył do nieskończoności, albo nawet skończył smutnie, gdyby nie osobliwe szczęście Zygmunta.

Nieznany jakiś daleki krewny zmarł bezdzietnym za granicą. Nikt tak dalece nie rachował na niego, że Zygmunt o istnieniu nawet starego emigranta nie wiedział. Jedynym spadkobiercą tej, niewielkiej, ale jednak parę kroć sto tysięcy wynoszącej fortunki — był Zygmunt. Dał mu o tem znać prawnik, który się odzyskania podejmował.

Jednego wieczora, z humorem nigdy oddawna niewidzianym, wszedł do p. Justyny. Z twarzy jego było można poznać niezwykłe ożywienie. Postawę nawet miał śmielszą. Wszyscy to spostrzegli, ale dziwaka nikt badać nie śmiał, a on—

przez rodzaj dziwactwa też, nie śpieszył się z przyznaniem do tego, co go tak rozweseliło.

Dopiero przy herbacie nagle zwrócił się do Jolanty:

— Jestem pewien, że pani umierasz z ciekawości. aby się dowiedzieć, co mnie tak dziś upoiło? Nieprawdaż, że się muszę wydawać pijanym?

— Nie — ale bardzo szczęśliwie ożywionym!— odezwała się Justyna.

— Wie pani przyczynę?—rzekł—oto przestałem być proletaryuszem! Stał się cud.

— Co takiego?—spytała Jolanta.

— Spadło na mnie. parę kroć sto tysięcy franków, jak—z nieba!—rzekł Zygmunt. —Dodaj pani, że nawet opłakiwać niczyjej straty nie potrzebuję, bo krewnego tego mało znałem.

Justyna się zarumieniła i wyciągnęła doń rękę.

— Cieszę się—rzekła—ale, na Boga, nie traćże pan tej podstawy, której wiesz jak brak w życiu boleśnie czuć się daje.

— Ja nigdy nie miałem co tracić — westchnął Zygmunt—więc i nie nauczyłem się tego kunsztu. Zdaje mi się nawet—dodał, śmiejąc się—że mam skłonność do skąpstwa.

Tego wieczora śmiano się, żartowano i bawiono jaknajdoskonalej; nazajutrz był obiad na powinszowanie szczęśliwemu spadkobiercy. Zygmunt nawet powierzchownie się odrodził, przebrał i

powrócił do tej elegancyi skromnej, do której dawniej był nawykłym. Zmienił mieszkanie, przychodził teraz proszony, czy nie, do p. Justyny, prawie codzień. Jolanta była uspokojoną.

W mieście zaczęto już mówić o prawdopodobnem wyjściu za mąż, pięknej dziedziczki barona. za Zygmunta, ale ani on, ani ona nie przyznawali się do tego.

Jednego dnia Radzca zrana wyszedł do biura, spotkał w ulicy Jolantę, powracającą z kościoła, a że dawno jej nie widział, zatrzymał się dla przywitania.

— Cóż tam słychać?—zapytał, ściskając podaną rękę starej panny.

— Właśnie dziś miałeś się pan dowiedzieć wielkiej nowiny, którą zdradzę przedwcześnie, śmiejąc się — odezwała Jolanta. — Wczoraj wieczorem moja uczennica zaślubiona panu Zygmuntowi, z nim razem uciekła!

Tak! uciekła! — dodała wesoło — inaczej tego nazwać nie mogę. Miała coś w naturze takiego. co ją do ucieczek zmuszało, i nawet teraz, miło jej było zrobić ludziom niespodziankę—i zniknąć

— Nie mam obawy iż powrócą szczęśliwie!— westchnął Radzca.—Koniec ten oddawna mi się wydawał nieuniknionym.

— Tak, ale gdyby Zygmunt nie odziedziczył jakiejś tam resztki, po krewnym, długobyśmy byli

na koniec ten czekać musieli.... Radzca w powietrzu krzyż zakreślił.

— Niech z Bogiem jadą! Spadł mi z ramion ciężar wielki.... Kłaniam uniżenie!

I nucąc oddalił się staruszek.

Koniec.